CZESKA-MĄCZYŃSKA

DEMON ŻYCIA

KSIĄŻKI ZAJMUJĄCE.

TOM 15.

MARJA CZESKA-MĄCZYŃSKA

DEMON ŻYCIA

Powieść współczesna

WYDAWNICTWO
„KSIĄŻEK ZAJMUJĄCYCH"
KSIĄŻNICY NAUKOWEJ W PRZEMYŚLU.

MARJA CZESKA-MĄCZYŃSKA

DEMON ZYCIA

Powieść współczesna

Z DRUKARNI JANA ŁAZORA W PRZEMYŚLU.

I.

— Mojem zdaniem ojcze, małżeństwo Tomka, nic nas właściwie obchodzić nie powinno. Chce się żenić, niech się żeni. Popełnił już tyle głupstw, że może dodać jeszcze jedno.

— Największe !

— Rzecz szczęścia. Wszak ty byłeś zawsze zadowolony, ojcze.

Bruszczyc wziął do ręki poraz dziesiąty znowu fotografję przyszłej synowej, spojrzał na nią uważnie z pod okularów, niestety, mimo najlepszych chęci, nic w niej odkryć nie mógł powabnego, była to przeciętnie przystojna twarz kobieca, o obcym typie, trochę za silnie rozwiniętej szczęce dolnej, grubych ustach i oczach dużych, wyrazistych, te ostatnie były zapewne bardzo piękne, ale staremu Bruszczycowi, linja szczęki i ust zepsuła zupełnie całość, to też mówił z niechęcią:

— Biedna, dawna artystka kabaretowa, niełądna i nawet niesympatyczna... i ty chcesz Mietku, żebym ja taki związek błogosławił? Przecież za wszystkie grzechy Tomka, płaciliśmy dotąd my... a więc i ten gotów nam spaść kiedyś, jako zło, trudne do pozbycia i naprawienia.

— No, więc co? Napisze ojciec, że się ojciec nie zgadza, a Tomek i tak się ożeni, pełnoletni jest już dawno, a opór ojca zwiększy tylko jego pragnienie, zbyt chętnie płynął zawsze przeciw wodzie. Zresztą może ta madame czy mademoiselle o dziwnie brzmiącem nazwisku jest w rzeczywistości daleko sympatyczniejsza, a ponieważ dotąd, zawodowo poskramiała słonie, to może i Tomka poskromi.

— Co jednak na to powie matka i twoja żona?

Mieczysław Bruszczyc uśmiechnął się ironicznie, wyjął z wazonu długą łodygę zwiędłej róży i uderzał nią rytmicznie o brzeg biurka.

— Mama dostanie migreny lub spazmów, a te miną... a moja żona... nie ma prawa sądu.

— Panna Malja-roch-Krzycka, co za dziwne połączenie, a Tomek nie uważa za stosowne wytłumaczyć go nawet.

— Benigua z Malja-rohów Brzeszczycowa. Cóż ojciec chce, bilety wizytowe co najmniej... oryginalne.

— O... aż za bardzo!

Teraz z kolei, fotografja znalazła się w smukłych, starannie utrzymanych palcach Mieczysława Bruszczyca.

— Wie ojciec, w tych oczach jest dusza.

— A w tych szczękach zwierzę.

— Nie przeczę, ale ta twarz, o ile posiada odpowiedni koloryt, może być ciekawa, przez ten kontrast właśnie.

Wolałbym, żeby Tomek mniej ciekawie wpatrywał się i wczuwał w te kontrasty. Zresztą, dlaczego zaraz małżeństwo takie.., panie...

— Czasy się zmieniły... No, więc cóż mu odpisać, ojcze?

— Nie wiem, gdyś ty się żenił, gdy Ada szła zamąż, było to zupełnie coś innego... ale Tomek, taki wicher, mimo swoich trzydziestu dwóch lat...

— Może on właśnie będzie szczęśliwy.

Po smagłej twarzy młodego mężczyzny przesunął się cień i ustąpił miejsca uśmiechowi:

— Może owa zagraniczna żona nie będzie już tęskniła do zagranicy...

— Najlepiej byłoby, byś ty pojechał Mietku, przypatrzył się jej i ewentualnie albo Tomka wyrwał z tej matni.

— Albo go ostatecznie pogrążył.

— Pojedziesz?

— Jeżeli ojciec sobie tego życzy.

Stary Bruszczyc odzyskał dobry humor, piwne, młode, pomimo siedemdziesiątki oczy, zaśmiały się swawolnie, gdy odgarniając z czoła siwą czuprynę, mówił półgłosem:

— Matce nie powiemy nic, aż po twoim przyjeździe, wogóle milczenie... no a potem, to jakoś będzie. Czy chociaż te słonie do niej należą?

— Zdaje się do przeszłości.

— Ty, a może ona kolorowa?

Możliwe.

— Więc jakże to zrobisz? Pójdziesz najpierw do Tomka, czy jak?

— Nie, mam zamiar pójść wprost do niej, zobaczyć ją nagle nieprzygotowaną na moją wizytę, w jej własnem środowisku. Nawet w hotelowym pokoju, odbija się coś, z indywidualności człowieka, który go zamieszkuje. W dalszym ciągu zobaczymy, zawsze byłem dość odporny, zarówno na wdzięki, jak i na łzy kobiece, więc mój sąd, będzie napewne trzeźwy i bezstronny. Uprzedzony do niej nie jestem. Trochę zapóźno przekonałem się, że pieniądz nie tworzy podstawy szczęścia a dobre urodzenie, nie świadczy jeszcze o szlachetności duszy. Moja Wikta ma chwile, że zachowaniem łudząco przypomina sutereny lub kulisy... zresztą i to nic dziwnego, chowały ją dobrze płatne sługi, zbieranina szumowin z całego świata, francuskie i angielskie damy z ćwierćświatka, które przygarniamy jako bony i guwernantki. Jestem przekonany, że zanim ja zostałem mężem, moja żona miała kochanków i... że ich ma do dzisiaj.

— Mietku!

— To trudno... ma ich ojcze. Więc wracając do rzeczy, poskromicielka słoni, może mieć zewnętrzny układ nie zbyt oddalony, od naszych dam z arystokracji a dusze... To tajemnice muszli, w jednych, nurek narażając życie, znajduje trochę szlamu, w drugich perły bezcenne... przypadek i nic więcej. Może Tomek odnajdzie też trochę szlamu, a może perłę... rzecz szczęścia.

— Wracając do Wikty...

— O... nie mówmy o tem, ojcze. Dzięki Bogu nie mamy dzieci i nic nas już nie wiąże, prócz wspólnego majątku i nazwiska. Więc stosownie do twego życzenia, pojadę wieczornym pociągiem.

— Słuchaj Miet... a może możnaby, tak jakoś zrobić, by ona zerwała... Dla mnie byłoby to najsympatyczniejsze i chętnie... bardzo chętnie, dałbym tej pani z pół miljona marek.

— Marka nisko stoi ojcze, a ona, zdaje się pochodzi z ojczyzny franka czy funta szterlinga, musiałbyś więc sięgnąć głębiej, a stan interesów w Borach jest... nie beznadziejuy wprawdzie, ale zły...

— Ach... ona może jest z Kazimierza, po naszych kabaretach, wszelkie kolorowe i niekolorowe damy stamtąd zazwyczaj pochodzą. Zobaczysz zresztą, akcent więcej powie, niż nazwisko. Sądząc po tej dolnej partji twarzy, rosyjska żydówka.

— Sądząc po tych oczach... rodowita hinduska.

— Et... Proszę...

Przerwało rozmowę dwóch mężczyzn dyskretne pukanie i na progu gabinetu stanęła Wikta Bruszczycowa w całej swojej niezwykłej urodzie. Jasny blask lampy padł na jej pełną kibić, rude, krótko obcięte włosy, z szeroko rozwartych rękawów luźnej sukni domowej, tak miękkiej i przytulnej, iż za każdym ruchem uwydatniała linje ciała, wychylały się ręce, wprost cudne, jak marmurowe ramiona starożytnych bogiń.

— Dogaressa — szepnął Mieczysław Bruszczyc a jego ciemne, wymowne oczy, ogarnęły te cudne kształty, z podziwem należnym arcydziełu.

— Nudzę się! — Uśmiechnęła się piękna pani, wtulając się w fotel, a miękka tkanina sukni nagle przylgnęła do kolan i zarysowała kształt nóg. — Mama ma szalony ból głowy, nikt nie przyjechał, śnieżyca... słowem, urwać się można! Chciałam więc zajrzeć do was. Zresztą, muszę się ojcu poskarżyć... siedzę już całe dwa miesiące w domu, a Miet mnie zaniedbuje. Patrzy na mnie, tak jak się patrzy przez szybę, jak gdybym nie istniała dla niego, a przecież w zimie, na wsi, jest tak rozpaczliwie nudno... tak nudno...

— Że aż...

— Proszę.. dokończ.

— Och... to była tylko uwaga na marginesie.

— Zapewne złośliwa... jak twoje myśli zawsze, Miet...

— Może...

— Pragnęłabym wyjechać, ojcze... Pierwszy to rok, w którym spędzam zimę w domu i mam czasem wrażenie, że zwarjuję. Już w czasie wojny, było dużo więcej rozmaitości, niżeli teraz, zimy przynajmniej spędzało się w dużym mieście... a teraz... doprawdy rozpacz!

Wyciągnęła się w fotelu, ramiona splotła nad głową i znów przez zdradziecko-miękką tkaninę sukni, zarysowały się wdzięczne linje piersi, a piękne, ciemno-błękitne oczy, wysłały w stronę męża zalotne, podbijające spojrzenia. Mieczysław

Bruszczyc podał żonie szal leżący na otomanie i rzekł z chłodną uprzejmością:

— Musi ci być zimno...

— Dlaczego?

— Bo sprawiasz wrażenie, że ta suknia służy ci równocześnie za... koszulę.

— Cóż chcesz... ciężkie czasy... — zaśmiała się zalotnie.

Stary Bruszczyc fajkę nałożył, zaciągnął się i synowej pudełko z papierosami podał:

— Zakurz sobie niewiasto.

— Dziękuję ojcu. Wie ojciec, że u mnie coś straszy, gdy śpię, słyszę czasem wyraźnie kroki.

— Może nieboszczka kasztelanowa... ot różne są tajemnice starych domów — westchnął starzec.

— I zbyt wrażliwych kobiet. Staraj się spać Wikto.

— Staram się, zażywam weronal i morfinę.

— Wikto!

— No, cóż ojciec chce?! Przecież nie mogę się skazywać na bezsenne noce. Takie są długie i tak się wloką... w nieskończoność. — Zauważyła na biurku pęk świeżych, cudownie pięknych róż. — Skąd ty masz te cudowne róże, Mietku?

— Ogrodnik mi przyniósł, rozwinęły się w cieplarni.

— Boże! takie płomienne róże, w zimie, przez jedną noc się rozwinęły... toż cud!

— Różne bywają cuda... — zauważył Mieczysław Bruszczyc.

— Naprzykład?

— Czasem... równie płomienne róże, zeschną również za jedną noc i nie ożywi już ich słońce, ni ciepło, nic nie zdoła wyczarować z nich życia. Mniejsza z tem... jadę dziś wieczorem do Warszawy i jeżeli masz jakie rozkazy... słucham.

Podniosła się, przeszła przez pokój, oparła się o ramię męża, tak, iż odczuł sprężyste jej ciało i zawrotny zapach tuberoz.

— Weź mnie z sobą.

— Jadę na kilka dni.

— Nie chcesz?

— Żałuję...

— Drwisz wiecznie.

— „Ironja smutnym jest kwiatem“ i tak dalej, powiedział poeta. Naprawdę, nie mogę, będę miał czas tak bardzo zajęty, że nie mógłbym ci poświęcić ani chwili.

— Nie wymagam twojego towarzystwa.

— Wiem, tylko pieniędzy... prawda?

— Mniejsza z tem!... — Młoda kobieta rzuciła się z powrotem na fotel, kopnąwszy po drodze małego szpica ulubieńca starego Bruszczyca. — Czy wy tego nie rozumiecie, że ja się tu duszę! Że mnie ta bezczynność zabije, że miewam chwile takiej rozpaczy, iż byłabym zdolną zabić się nawet. Ta wasza przeklęta wieś! Ubieram się, dla kogo? Dla dziewek folwarcznych? czy pachołków stajennych? Dla kogo?

Wybuchnęła płaczem, stary pan Bruszczyc bezradnie spojrzał na syna, wzruszył ramionami, gwiznął na liżącego się w kącie szpica i wyszedł. Mieczysław milczał... wiedział dobrze, że z po-

między smukłych palców, patrzą ku niemu ciemnobłękitne oczy i że te oczy, pomimo wstrząsających nią łkań, są... najzupełniej suche. Wreszcie zaczął zwolna:

— Starałem się zawsze... w granicach możliwości uprzyjemnić ci życie Wikto, tak, jak ty to rozumiesz. Niestety, w ostatnich czasach poniosłem ciężkie straty, a twój posag i moje oszczędności, a nawet jak wiesz, dwa nasze folwarki poszły na zaspokojenie twoich pragnień życia i użycia. Dziś, pomimo najlepszych chęci, dostarczyć ci pieniędzy na wyjazd nie mogę, wojna nas zubożyła i złe gospodarstwo, jak zresztą wielu innych. Chociaż mogę ci zaręczyć, że pobyt twój tutaj i dla mnie jest... — Urwał, do okna podszedł i milczał chwilę, po jego ciemnej, jak bronz twarzy przesunęła się łuna rumieńca i zatliła błysk w przygasłych ciemnych oczach. — Żal mi cię... bo wiem, co się dla ciebie życiem nazywa. Czy jednak Wikto, nie mogłabyś trochę popracować nad sobą... bibljoteka nasza mieści w sobie taki staranny dobór dzieł, tyle piękna, prawdziwego piękna.

— Nudnego... brr!...

— Życie nie składa się z romansów i powieści. Nie zawsze będziesz równie urodną i młodą, a gdy tylko jak dotąd, będzie cię pochłaniał kult ciała, to gdy to ciało zwiędnie, będziesz bardzo, bardzo biedna. Życie zabierze ci twoje wszystko, a ty? — Głos jego miękki się stał, jak gdyby mówił do dziecka, a ona przygarnęła się do niego nagle, wtuliła twarz w jego ręce i słu-

chała. Pragnął z głębin swojej jaźni zaczerpnąć myśli najbardziej silne i dobre, najbardziej proste, by trafić niemi do tej duszy. — Zostaniesz nędzarką. Każdy człowiek, widzisz, każda dusza ludzka ma prawo i obowiązek rozwoju, tajemnicza potęga, która nas do życia powołała, iskrę ducha, w pożar zamienić pragnęła. Gdy duch zwycięża ciało, gdy budzi się w nas szósty zmysł — nieskończoności, przestajemy być zwierzątkami kręgowemi a stajemy się ludźmi, dziećmi Boga. Gdy człowiek odnajdzie swój świat wewnętrzny, staje się dopiero człowiekiem, boskie wyżyny myśli otwierają się przed nim. Takie życie, jak twoje, to przecież bardzo marne życie, kwestja tualet i podboi wypełnia ci je jedynie... a z każdym nowym twoim podbojem, z każdą nową twoją miłostką, obniżasz twoją godność człowieczą tracisz twoją moralną wartość. Czy ty tego nie rozumiesz, Wikto?

Złoto-ruda głowa leżała wciąż na jego kolanach, teraz uniosła się na chwilę.

— Miłostki? Czyżbyś był zazdrosny?

— Nigdy nie byłem o ciebie zazdrosny, nawet w dniach, gdy twoja wspaniala uroda, odurzyła moje zmysły.

— Kochałeś mnie wtedy?

— Nie, upijałem się tobą... — Przyznał otwarcie — jednak gdybyś była chociaż trochę starała sią umieć odczuć i zrozumieć, gdyby chociaż czasem dusza twoja starała się iść równo z moją... byłbym cię zapewne pokochał. Ale ty

Wikto, nie zadałaś sobie tego trudu, wszystkie moje usiłowania obce ci są i dalekie.

— Podobnie... jak tobie, moje.

— W dziale konfekcji damskiej, jestem za prawdę wielkim dyletantem... Mniejsza z tem. Nudzisz się, staraj się czas zapełnić, pracuj nad sobą, kształć się... Jeżeli chcesz, mogę ci być na tej drodze przewodnikiem... Chcesz, Wikto?

Spojrzała mu w oczy i nagłym rzutem sprężystego ciała do piersi mu przylgnęła:

— Piękny jesteś.. znów. Bardzo piękny! I ja właściwie, zawsze kochałam tylko ciebie!

Szorstko odsunął jej ramiona i do biurka podszedł, czarno czerwone kręgi rozjarzyły mu się przed oczyma, a w fali tych kręgów majaczyła złoto-ruda głowa kobiety o przecudnych kształtach renesansowej dogaressy.

I była chwila...

W pokoju zaległo milczenie, kobieta leżała na otomanie, jak gdyby czekając pieszczoty, suknia zsunęła się z lewego ramienia i wybłysnęła z niej pierś młoda, sprężysta, biała jak alabaster.

Mieczysław Bruszczyc w silnych, smukłych palcach wygiął nóż do przecinania papieru... pękł z suchym trzaskiem... odrzucił go, jak coś zupełnie zbędnego, co jednak zadanie swoje spełniło... opanował się... Wszakże to... nie była miłość.

I głos jego znowu chłodny był i trochę ironiczny w tonie, gdy zapytał:

— W różnych wcieleniach?

Wikta porwała się, poprawiła obsuniętą suknię, wzięła papieros z biurka i puszczając kłęb błękitnego dymu w przestrzeń, rzuciła lakonicznie:

— Głupi jesteś.

Uśmiechnął się smutnie:

— Odnalazłaś już twój właściwy ton.

— A ty twój. Słuchaj, czy to prawda, że Tomek się żeni z jakąś poskromicielką słoni?

— Nic nie wiem.

— Powiedz komu innemu. Mama dostała rano list i sprawiła sobie ból głowy. Pomimo twojego wielkiego rozwoju duchowego, kłamiesz, gdy potrzeba.

— Małżeństwo Tomka jest dla mnie rzeczą najzupełniej obojętną.

— Nawet, gdy wprowadza do rodziny jakąś taką?...

— W naszej rodzinie była dość urozmaicona galerja typów, przybędzie jeszcze jeden.

— Dlatego jednak jedziesz do Warszawy?

— Tak.

— I co będzie?

— To, co ma być.

— Bardzo dowcipna odpowiedź.

— Powiedz mi, dlaczego cię to właściwie tak bardzo interesuje?

Wikta strzepnęła popiół z papierosa i rzuciła, śledząc równocześnie z pod rzęs, wyraz twarzy męża.

— Bo Tomek... to przecież także... jedno z twoich wcieleń.

Mieczysław zbladł.

— Cios utkwił — ze złośliwą radością pomyślała kobieta. A on, pomimo, iż odczuł, że skłamała, nie mógł otrząsnąć się z przykrego wrażenia, coś w nim skurczyło się pod wrażeniem tych słów. Miał dosyć tej rozmowy, tej kobiety, wszystkiego... czuł, że w jej towarzystwie staje się gorszym duchowo, mniej wartościowym, że ona ma specjalną zdolność budzenia w nim uśpionego stanu i targania nim bez litości.

I pomyśleć, że z taką Wiktą trzeba żyć, żyć! przez długie lata, jak galernik przykuty łańcuchem.

Wstrząsnął się.

— Przepraszam cię, że odchodzę, ale muszę się przygotować do drogi i wydać odpowiednie rozporządzenie.

Musnął ustami jej białą, ciepłą rękę i wyszedł.

Pani Wikta patrzyła chwilę za nim, potem ziewnęła i rzucając z pasją niedopałek papierosa w głąb kominka, wypowiedziała jakiś okruch myśli, które w niej szalały.

— Ostatecznie... nie pierwszy raz.

II.

Mieczysław Brzeszczyc zawahał się chwilę, a potem zadzwonił, gdzieś, w głębi pokoju, z za zamkniętych drzwi, odpowiedział mu cichy i łagodny głos kobiecy:

— Zaraz.

I ten głos usposobił go dobrze, zdławił niechęć, bo nie było w nim nic krzykliwego, ordynarnego.

— Proszę.

Wszedł.

W pokoju była pełń słońca, wpadało przez pozbawione firanek okna i kładło się na jasnych, prostych meblach, kwiatów tu było dużo i one to wydzielały ten subtelny i dziwny zapach, który snuł się w przestrzeni, przypominając kościół i grób. Ciemno fiotetowe gwiazdy cyrenarji i białe kielichy tuberoz tuliły się do zwierciadła, biała skóra niedźwiedzia pokrywała niską otomanę. Brzeszczyc zatrzymał się chwilę, olśniony słońcem, niespodziewaną jasnością i prostotą tego, hotelowego bądź co bądź pokoju, a potem spotkał spojrzenie wielkich, ciemnych,

wyrazistych oczu, które przyglądały mu się pytająco. Szła ku niemu smukła bardzo postać kobieca, gładko uczesana, kruczo-czarne włosy oplatały kształtną, małą główkę, w której jarzyły się te cudowne, bajkowe oczy. Więc to była Benigna Malja-Roh Krzycka.

Skłonił się, jak przed najdostojniejszą z dam.

— Jestem Mieczysław Brzeszczyc, brat Tomka.

— Proszę.

Ciemna, mała rączka wskazała mu miejsce, a cudowne oczy czekały.

A Bruszczycowi brakło słów, ulotniło się gdzieś wszystko, co miał powiedzieć, milczenie stawało się coraz cięższe i coraz dłuższe.

Nagle oczy kobiety rozjaśniły się, jak gdyby rozpaliło je wewnętrzne światło nagłego zrozumienia.

— Mówiłam Tomkowi, że wogóle nie nadaję się może na żonę... ale podbił mnie żywiołową siłą swojej miłości, jest w nim tyle z dziecka... A wreszcie życie jakoś przeżyć trzeba... prawda, panie? A nie składa się ono z wielkich chwil i wielkich namiętności, ale z tych dni szarych i zwykłych, co uciekają w dal nie wiedzieć dokąd i kiedy.

Teraz dopiero Mieczysław Brzeszczyc zauważył nieco za silnie zarysowaną szczękę i usta purpurowe, lekko rozchylone, życia spragnione — i to powróciło mu swobodę.

— Czy jednak pani zastanowiła się dobrze? Człowiek w takich chwilach przełomowych stoi nad brzegiem przepaści, może go przyjąć go-

ścinnie zielona murawa, ale może i głowę roztrzaskać.

— Zawsze stoimy nad brzegiem przepaści, bo budząc się rano, nikt z nas nie wie, czy wieczornej doczeka zorzy.

— Pani naprawdę pochodzi z Indji?

— Tak panie... matka była rodowitą Hinduską, ojciec był Polakiem, co go rzuciło tak daleko od ojczystego kraju... Bóg jeden wie... Urodziłam się i wychowałam w Indjach i dlatego... trudno mi dość zrozumieć was. Tak was bardzo pochłania samo życie. I dlatego też wahałam się, gdy Tomek zapragnął, bym została jego żoną. Zresztą... jak pan wie zapewne... — Urwała coś niedopowiedzianego a odczutego przez nich oboje zdawało się dźwięczeć w przestrzeni, wreszcie sformułowało się w pytaniu zadanem przez mężczyznę:

— Co panią sprowadziło aż tutaj?

Pochyliła głowę, a potem odrzekła ze smutkiem wielkim w głosie:

— Człowiek... a może i nie on. Może to uczyniła dziwna dwoistość mojej natury. Sir Teobald był piękny i piękną miał duszę, poszłam za nim, rzuciłam ojca, matkę, Indje, a potem...

— Potem?

— Jak zwykle nie można grać wciąż tej samej pieśni, bo gdyby nawet była muzyka sfer, znuży wkońcu. Sir Teobald znużył się... zabrakło wreszcie jego egzotycznej miłości... tła. Na tle pustynnego krajobrazu naszego, na tle kwiecistych i dzikich dżungli i mojego ojczystego

biało-różowego Dżejpuru z jego ogrodami, miłość nasza miała coś ze snu, z chwilą, gdy okręt odbił od brzegów, sen się skończył, a zaczęło życie. Wobec europejek śmieszna byłam zapewne, nie umiałam jeszcze wtedy dostosować sukni do typu mojej urody i nagle, stałam się w jego duszy zdetronizowaną królewną, brakło mi pod stopami ojczystej ziemi. Ciągnęło się to jeszcze rok, wtedy cierpiałam bardzo, bo pragnęłam odejść i nie wiedziałam dokąd. Pisałam do ojca list, pozostał bez odpowiedzi, wracać nie było poco... Jednego dnia, gdy byłam z sir Teobaldem w cyrku, przyszło mi na myśl, że i ja mogłabym zarabiać w jakiś, podobny sposób, na życie. Sir Teobald oddał mi w części zabraną ojczyznę, kupując dwa słonie, pokochałam je, te pozornie ciężkie, a tak mądre i nieskończenie dobre stworzenia, nauczyłam je sztuk rozmaitych, i co wieczór, na mgnienie, wchodziłam na jawie w królestwo snów. Blask kinkietów rozświetlał kulisy z daleka wizją Dżejpuru, dar sir Teobalda, ja miałam na sobie szaty noszone w moim kraju i dwa moje słonie. Ta złuda dawała mi radość.. o, jak wielką. Zaczęłam moją włóczęgę po Europie i łudziłam się, że kiedyś do Indyj wrócę samodzielna i niezależna od nikogo... do ojca. Kochałam go. Wybuchła wojna, nie mogłam wyżywić swoich ulubieńców, musiałam się z nimi rozstać, kabarety i cyrki zamknęły swoje podwoje. Potem byłam pielęgniarką, potem... przelotną towarzyszką jednego z generałów misji zagranicznej i wtedy los mnie przy-

niósł aż tu... poznałam Tomka... I pomimo, że powiedziałam mu wszystko, tak, jak to w tej chwili mówię panu, zapragnął bym została mu żoną. Skończyłam.. teraz niech pan mówi, proszę.

Mieczysław Brzeszczyc wyciągnął rękę i ujmując silnym, przyjaznym uściskiem kobiecą dłoń, zapytał:

— I kocha go pani?

— Jego urodę, odwagę wielką, dziecięcą dobroć.

— Jego duszę?

Zawahała się.

— Nie poznałam jej jeszcze dość dobrze, panie.

— A czy nie pomyślała pani, że może... wyrządzi mu pani pewnego rodzaju krzywdę... chociażby dlatego, że na innym gruncie wyrósł?

— Mówiłam mu to wszystko, co pan teraz mówi, ale mój opór, potęgował tylko jego pragnienie. Pan przecież zna brata, im coś do zdobycia trudniejsze, tem jest dla niego bardziej pożądane. Bardziej oddanej żony ode mnie nie znalazłby zapewne, bo wdzięczną mu jestem, wdzięczną ogromnie, iż mimo wszystko, żonę swoją ze mnie uczynić pragnie.
Gdyby nie on... jakiż byłby mój dalszy los? W śmierć chybabym poszła, bo nie potrafiłabym przechodzić z rąk do rąk, jak inne.

Bruszczyc odczuł z jej wyrazistych oczu, iż mówiła prawdę, ta kobieta nie umiała kłamać i polecenie ojca zostało niewypowiedziane, dźwięk

jej głosu był taki naturalny, nawet gdy mówiła o rzeczach, które ją musiały wzruszać głęboko i taki spokój był w jej całej, lekko pochylonej, smukłej postaci, iż udzielał się jego wrażliwej naturze.

— Pani tak biegle mówi po polsku.

— Mam dar do języków, zresztą ojciec uczył mnie niegdyś polskiej mowy i z łatwością przypomniałam ją sobie teraz. Tomek dał mi zresztą dobrego nauczyciela, bo twierdzi, że poznać język, to poznać i pokochać duszę kraju. A jednak nie poznałam was dotąd dobrze, ani nie potrafiłam pokochać. Czytam wasze książki, pieśni waszych poetów i... Prawda panie, że trudno jest zrozumieć naród, który wydał Kasprowicza i Zapolską? Jedno tylko odczułam olbrzymią miłość ziemi, która wam utrudnia lot ducha... jesteście niewolnikami ziemi. — Zakaszlała i ten kaszel suchy, krótki, urwany, przeraził Mieczysława Bruszczyca, jak gdyby nagle wytłumaczył mu nieziemskie piękno jej oczu, a te oczy smutne się stały bezbrzeżnie. — Zimno jest u was, tak zimno i smutno, to słońce wasze świeci, a nie grzeje.

Drobne ręce schowała w szerokie, flanelowe rękawy sukni i zapatrzyła się gdzieś w dal na szyby, które nagle zaczęły pokrywać rysunki mrozu. Zimowe słońce zachodziło, a na szyby mróz rzucał swoje przejrzyste tkanki.

— Zimno i smutno. Za chwilę Tomek nadejdzie, zawsze tu przychodzi o tym czasie. Widział go pan już.

— Nie... jeżeli pani pozwoli, zaczekam tu na niego, naturalnie... o ile w czemś nie przeszkadzam.

— Nie. Co powiedział ojciec Tomka na jego list... ale... prawdę panie.

— Zachwycony nie był... ale ze strony rodziców żadnych niema przeszkód i nie będzie. Przyjechałem właśnie: — zawahał się na mgnienie i kończył z uśmiechem: — zrobić pani propozycję, niech pani przyjedzie do nas... na miesiąc... dwa. Pozna pani swoją przyszłą rodzinę i miejsce, gdzie pani przyjdzie spędzić życie. Mówiła mi pani, że miłość Teobalda zgasła, gdy jej zabrakło egzotycznego tła... a jeżeli, podobnie będzie i z tą miłością?

Zamyśliła się, jej wielkie, piękne oczy, patrzyły gdzieś, w nieznaną dal, z trwogą śmiertelną, ale wnet opanowała się.

— Tak... powszedni dzień wiele zmienia.

— Pani widzi tu Tomka także tylko w odświętnej szacie i nic pani nie poręcza, czy zwykły dzień nie uczyni go pani mniej sympatycznym. Wszyscy w towarzystwie mamy wspólne pozory zewnętrzne, kultura upodobnia nas bliźniaczo, w domu jednak człowiek zrzuca maskę i jest samym sobą. Występują wtedy żywiej cechy charakteru, zalety i wady. Ja również jestem żonaty... ale, gdyby nam były dane dwa miesiące pożycia pod jednym dachem, przed ślubem, bylibyśmy uratowali dwa życia od ruiny.

Przerwało pukanie i zanim kobieta zdążyła wyrzec słowo, drzwi się otwarły i wszedł Tomek

Bruszczyc z bukietem, owiniętym starannie bibułką. Był zupełnie inny od brata, rosły, barczysty, o jasno złotej czuprynie i roześmianych oczach błękitnych, miał w ruchach tężyznę i rozmach młodości. Na widok brata, zatrzymał się u progu i błyskawica gniewu zalśniła mu w oczach. A Benigna wzięła mu z rąk kwiaty, rozwinęła z bibułki i zatopiła w wonnych pęczach purpurowych róż, całą swoją drobną, śniadą twarzyczkę.

— Ty, Mietku!

— Czekałem właśnie na ciebie... u pani. A kobieta, podnosząc z nad róż oczy rozjaśnione, łagodnym uśmiechem dorzuciła:

— Przywiózł mi pan zaproszenie, bym czas, poprzedzający nasz ślub, spędziła u was w domu.

— Awantura! — Silne, młode ramiona oplotły ją nagle i przytuliły: — Pojedziemy, ale po ślubie. Tylko mi nie zamarznij kobiecinko, dwór w Borach jest wprawdzie opalony, ale robią tam ludziom zimne przyjęcie Skąd wam się taki projekt poroniony urodził Mietku?

— Bena nie powiedziała ci jeszcze zdaje się, że nasz ślub ma być pojutrze raniutko, prawda ptaszyno? A potem jedziemy do Borów, życie w Warszawie djablo kosztuje, a zdemobilizowanie mam właśnie w kieszeni. W Borach będę ekonomować, a Benuś będzie się chować na gospodynią, bo dotąd to rosło i kwitło, ale o kłopotach codziennego życia nie miało bladego wyobrażenia.

— Mylisz się, w domu pomagałam matce, ale nasz wikt był bardzo prosty i mało urozmaicony, ryż, owoce, jarzyny... U nas je się, aby podtrzymać życie... u was... jedzenie bywa czasem treścią życia.

— No, no... bez przesady. Głupstwo zresztą, Wikta też nie ma pojęcia o gospodarstwie, a żyje. Słuchaj drobino, możebyś nam dała herbaty, mróz bierze.

Ale i herbata nie przyniosła serdecznego nastroju, coś krępowało wszystkich. Tomek myślał z pewnem zakłopotaniem o swoich rachunkach, które należało uregulować przed wyjazdem, chociaż w części. Same róże, same te kwiaty, któremi zasypywał ukochaną kobietę, miały wartość małej fortuny. No co, stary się rozzłości, Miet będzie miał kazanie, a ostatecznie znowu się wszystko jakoś ułoży. Zresztą, to już ostatnie wybryki, teraz zakopie się z Beną w Borach i będzie gospodarzył zawzięcie.

Wyszli wieczorem, Tomek zaraz za progiem pochwycił ramię brata:

— No? jak ci się podobała? Prawda, jakie ma cudowne oczy? Co za harmonijne linje, jakie piękno poruszeń! Usta ją trochę szpecą, są cokolwiek za wydatne i trochę za silnie rysuje się szczęka dolna, ale piękna jest, prawda? Jak figurynka z bronzu.

— Słuchaj Tom... czy ty ją naprawdę kochasz?

— Bardzo, gdy ją tulę, to zawsze ogarnia mnie takie dziwne, tkliwe uczucie, jak gdybym

przyciskał biedne, drżące, bezdomne ptaszę i cieszę się, że nim już nie będzie.

Mieczysław pomyślał, że i w małżeństwie, w swoim własnym domu, może się człowiek czuć nieraz bezdomnie, ale milczał, chociaż nie mógł sobie wyobrazić szczęścia tych dwojga. Kobieta wydała mu się, mimo swojej dziwnej przeszłości, czystą, Tomek.. znał przecież brata, leżał poza nim cały, długi szereg romansów i romansików, zawsze rozpoczynanych z żywiołową siłą, jak gdyby pierwszej miłości i kończących się rychło przesytem i nudą. Zdawało mu się, że brat, mimo swojej trzydziestki, nie dojrzał jeszcze do małżeństwa, nie opanował dostatecznie woli i zmysłów.

— No więc... podobała ci się? — nalegał Tomek.

— W każdym razie kobieta... z przeszłością... ma wiele wdzięku i prostoty, wiele piękna, ale wyrosła i wychowała się w innych warunkach i...

— Kobiety aklimatyzują się szybko, a kochające kobiety jeszcze prędzej. Wolę zaś kobietę z przeszłością... niżeli z przyszłością — dorzucił złośliwie.

— Ojciec dałby wiele, gdyby do małżeństwa nie doszło.

— I! mój drogi... wreszcie czas mi już na małżeństwo, a Bena podoba mi się, jak żadna dotąd, nie nudzę się w jej towarzystwie, jest cicha, dobra, zawsze pogodna, ma w sobie coś, co mi imponuje i co mnie chwilami onieśmiela.

— Tyle razy już w życiu kochałeś.

— Nigdy tak jak dzisiaj! Zresztą żenię się i koniec.

— A więc i mówić niema o czem. — Spokojnie przyświadczył brat starszy. — Człowiek powinien zobowiązań dotrzymywać, ale powinien też zastanowić się, komu je daje. Więc pojutrze ślub, a potem wracamy do Borów? Zaraz dziś napiszę do rodziców. Jak ty ją właściwie długo znasz?

— Rok... a od kilku miesięcy ponoszę koszta jej utrzymania.

— Ach, tak..

Mieczysławowi ożyła nagle w pamięci dolna partja twarzy kobiety i zmysłowe, lekko rozchylone usta, dodatnie wrażenie, jakie miał dotąd, rozprysnęło się, zapytał też z nagłym chłodem w głosie:

— Dużo masz długów?

Młodszy zaczerwienił się.

— Życie jest strasznie drogie i poniekąd dlatego... Widzisz, żyć bez niej byłoby mi trudno, czasem mi się zdaje, iżbym wprost nie potrafił żyć, tak jak dotąd... to pochłania sumy. Małżeństwo jest znacznie tańsze.

— Jak kiedy i jak z kim. Czasem daje się pieniądze, wolność osobistą, a wygrywa... zero. Ponieważ twoje długi zapłacić trzeba, a im prędzej, tem lepiej, więc chodźmy do ciebie i zrób dokładny rachunek sumienia.

— Nie będziesz się gniewał? — pytał młodszy, przygarniając ramię starszego brata — nabroiłem dużo i... ale to już naprawdę ostatni raz.

— Wierzę. Bory są dość płytką kopalnią złota i mogłyby nas te wciąż mnożące się długi gruntownie podkopać.

— Będzie ze trzy miljony.

— Tomku! — Ciężka chmura przesunęła się po czole starszego brata, milczał chwilę, wreszcie rzekł głosem, który załamywał się w gardle: — Trzeba będzie rozparcelować folwark Putiłowski i zmniejszyć stajnię. Trzeci folwark należący do Borów... jedne Sianki zostaną jeszcze.

III.

Śnieżna zawieja rozwiewnym welonem przesłoniła świat, gnała w pobok sani, sunęła po równi, jak jakiś niesamowity towarzysz. Drzewa znaczyły się słabo, mglistą koronką ogołoconych z listowia konarów, monotonnie dźwięczały dzwonki, nareszcie zamajaczyły zarysy dworu w Borach. Coraz bliżej i bliżej wyrastał wśród białej płaszczyzny posępny dwór o przysiadłych, potężnych murach, zmarniałych oknach, z czarniejącym poza nim sadem i równą, smukłą aleją topolową.

Zamarł dzień dzwonków nagle zerwany. konie stanęły. Tomek porwał w swoje silne ramiona żonę, tak zakutaną w futro, że tylko ze szpar pomiędzy kołnierzem a czapką wyglądały jej piękne, niepokoju pełne oczy. Cała ta droga, wydawała się jej jakimś przykrym snem, z lękiem spojrzała na niegościnnie zamkniętą bramę, ale właśnie uchyliła się i ukazała się w niej barania czapa i siwa głowa starego Bruszczyca.

— Jakże się wam jechało? Zadma straszna, co? Musiała pani zziębnąć, polski mróz do ży-

wego dogryźć potrafi, ale herbata już czeka i fotel ma pani przy kominku.

Swobodny, dobrotliwy głos starego pana powrócił wszystkim duchową równowagę, jak gdyby przez zamknięte szyby zaświeciło słońce. Bena pochyliła się nagle i ucałowała podaną rękę. Pan Bruszcyc z ową galanterją odznaczającą mężczyzn z ubiegłego stulecia, wprowadził ją do sieni, pomógł wywikłać się z futer i szali, zauważył przytem, że to nie „rosyjska żydówka“, ale coś naprawdę egzotycznego. A gdy spojrzały w niego przepiękne, czarne, złotem przesycone oczy, te oczy, jak gdyby rozświetlone od wnętrza, rozstajała reszta oporu.

Szła przed nim w ciemnej, skromnej sukni, bardzo artystycznie pojętej, a jej ruchy wolne, miękkie o dziwnej rytmice, zachwycały w człowieku artystę.

— Jest czar — myślał z zadowoleniem — łatwiej będzie żyć pod jednym dachem.

Benigna zaś szła, jak we śnie, zdając sobie jedynie słabo sprawę ze wszystkiego, co ją otaczało, dźwięczała jej jeszcze w uszach monotonna melodja dzwonków i jęk wichury, olśniewała ją jeszcze ta równia biała, smutna, po której zawodził dziwaczny tan, porwany wichrem, śnieg.

— Twoja synowa, mamo... a dla mnie, moje wszystko najdroższe.

Jakieś chłodne usta na czole, czyjeś oczy niebieskie, w chmurnej surowej twarzy, a potem znowu dłoń ciepła i miękka, woniejąca hryprem

i wreszcie skórzany fotel przy kominku i ogień! Ogień!

Z jaką rozkoszą wyciągnęła ku niemu zesztywniałe od zimna ręce, jak gdyby nagle, wśród tych obcych odnalazła coś znanego i drogiego.

— Pij Beno herbatę, gorąca jest, doleję ci koniaku, dobrze? Zimno ci bardzo?

Chylił się ku niej Tomek, a jego niebieskie oczy patrzyły w nią z serdecznym niepokojem, nie mogła zdobyć się na odpowiedź, tak jej było zimno, wiał ten chłód od sztywnej sylwetki małej, czarno ubranej staruszki, promieniał z białych, obnażonych ramion Wikty, snuł się nawet od tych portretów na ścianie. Obcą tu była... Z mimowiednym lękiem, drobna jej ręka przytrzymywała dłoń Tomasza, taka była gorąca i silna, coś z tej siły udzielało się jej rozdygotanym nerwom.

— Pij herbatę Beno, antypatyczna była ta droga i lękam się o ciebie, kociaku.

Posłuchała męża. Gorący, słodki płyn przywrócił jej trochę dawną sprężystość ruchów i oddalił to przykre, dławiące wrażenie obcości.

— Pani zdaje się przeziębła bardzo? — Usłyszała wreszcie skierowane do siebie pytanie czarnej staruszki: — Jakże się pani wydają Bory?

Bena nie zdążyła jeszcze odtajać, mamo, ona pochodzi przecież z krainy wiecznego słońca i nie zna naszych zim — odpowiedział za nią Tomek.

— Przeciwnie, znam je z opowiadań ojca. — Powiedziała ze sztuczną swobodą: — tęsknił za

śniegiem, a ja słuchałam jak baśni z tysiąca i jednej nocy, nie mogąc sobie wyobrazić tych drobnych, białych gwiazdek, co z nieba lecą i zaścielają przez jedną noc świat.

— Ojciec pani umarł dawno? — padło pytanie, które ciemny rumieniec zakłopotania wywołało na śniade lica kobiety, milczała chwilę, by wreszcie odpowiedzieć:

— Prawdopodobnie... żyje jeszcze.

— Gdzie?

— W Indjach.

— Więc pani sama przybyła do Europy?

— Miała towarzysza, prawdziwego, indyjskiego słonia, mamo. — Zaśmiał się Tomek. — A słoń, dobrze tresowany słoń, to opiekun lepszy od guwernantek i bon... prawda Beno?

— Pospolita awanturnica — pomyślała pani Bruszczycowa i wąskie jej usta ścięły się w nieprzejednaną linję.

— Ojciec pani był Polakiem... prawda?

— Tak...

— Jakimś urzędnikiem kolejowym, czy coś w tym rodzaju? — pytała Wikta.

— Tak, w Dżajpurze.

— A matka pani rodowita Hinduska, to przecież niezmiernie ciekawe.

— Wieczerzę podano.

Bena podniosła się z wrażeniem ulgi, nagle jej oczy spotkały spojrzenie Mieczysława i dostrzegła w niem litość, a ta litość sprawiła, że wrażenie obcości stało się jeszcze większe, bardziej przygniatające i napełniło jej oczy łzami.

Wpatrzyła się z wysiłkiem w portret rycerza na ścianie jadalni, by tylko te łzy zatrzymać, byle tylko nie przedostały się na rzęsy i nie spłynęły. Przy stole Mieczysław zaczął mówić o Indjach, wypytywał ją o klęski głodowe, rozmowa stała się ogólną i bezosobistą. O zamarznięte szyby roztrącał się blask lamp, a w przerwach rozmowy wicher jęczał w kominie, jak jakaś obecność nieuchwytna a istniejąca.

Gdy wreszcie wieczerza się skończyła i Bena z Tomkiem znaleźli się w obszernym pokoju sypialnym, młoda kobieta przytuliła się do męża.

— O, Tomku... jak tu zimno.

Nie zrozumiał jej, garnąc ją w swoje silne ramiona, odrzucił:

— Ciepło, jak w cieplarni...

— Ciepło — odpowiedziała z uśmiechem: — Ty i twoja miłość są ciepłem i światłem Tomku! Ale dla nich to zapewne zawsze obcą zostanę.

— I, co tam Benuś... pokochają cię i oni, bo ciebie się musi kochać.

— Ty...

IV.

Monotonnie mijały długie, zimowe dni, życie sączyło się powoli, jak gdyby woda w zamarzłym strumieniu, każdy z mieszkańców dworu miał swoje własne drożyny i drogi i dopiero godziny wieczorne gromadziły ich wszystkich w stołowym pokoju, a potem w gabinecie starego pana Bruszczyca. Mogło tu być zacisznie i miło, gdyby nie to, że każdy z członków rodziny wnosił z sobą jakąś utajoną tragedję, czaiła się ona w chmurnych oczach Mieczysława, w wyzywających spojrzeniach Wikty, w chłodnych źrenicach sztywnej staruszki, a wreszcie w cichych, głębokich, coraz smutniejszych oczach Hinduski. Tomek zazwyczaj uciekał zaraz po kolacji, szedł na karty do proboszcza lub nauczyciela, Mieczysław z ojcem omawiali kwestje gospodarcze, pani Bruszczycowa haftowała w krosnach, a nałożone do tej roboty okulary, nadawały jej wyraz jeszcze surowszy. Wikta czytała jakiś romans francuski lub paliła papierosy, ziewając co chwila, a Benigna, najczęściej pomagała teściowej w szyciu lub hafcie, ale chwilami

ręce jej opadały, a oczy patrzyły w płomień, może wstawało w jej pamięci coś z przeszłości, może teraźniejszość zostawiała wiele do życzenia, bo oczy stawały się wilgotne i wracały z natężeniem do pracy.

Dziś, wyjątkowo, panowie nie prowadzili gospodarczej debaty, stary pan Bruszczyc bawił się z ulubionym szpicem, wywracając go po dywanie, odrzucając jak piłkę w drugi kąt gabinetu, a śmiał się przytem, jak chłopak rozswawolony.

— Słuchaj Adasiu — oderwała nagle oczy od haftu surowa staruszka — nie wiem doprawdy, skąd ci dziś ten dobry humor, jak słyszę, zamierzacie rozparcelować folwark Putiłowski... dlaczego?

Stary pan porzucił rozszczekanego szpica i z ponad okularów spojrzał w twarz żony:

— Ano... bo trzeba. — Rzucił lakonicznie.

— Pewno Tomek narobił długów?

Benigna podniosła z nad roboty przerażone, oczekujące oczy.

— I... Tomek, nie Tomek... przyszły większe wydatki, a gotówki brak, więc cóż robić, z próżnego nie naleje. Skacz Lord — hop, przez laskę, dostaniesz cukru, no, hop!

— Naprawdę parcelujecie folwark? — Ożywiła się nagle Wikta: — To może nareszcie umożliwicie mi wyjazd, chora jestem, zdenerwowana i potrzebuję zmiany.

— Nie wyjedziesz — spokojnie rzucił Mieczy-

sław, bo ci na wyjazd dać nie mogę. Jeżeli jesteś chora, wezwij doktora Gwizdona.

— Tego starego osła!

— No, no... — ujęła się pani Bruszczycowa — doktor Gwizdoń leczy u nas od lat czterdziestu i był zawsze nietylko lekarzem, ale i przyjacielem najlepszym.

— Dla mnie, na lekarza za głupi, na przyjaciela... za stary. Ach Miet, jaki ty dziwny jesteś, rumienisz się jak panna.

— Za ciebie... — Chłodno, wzgardliwie odrzucił mężczyzna.

— Więc dlaczego się skazujesz na mękę pożycia ze mną pod jednym dachem, daj mi trochę gotówki a wyjadę...

— Zostaniesz...

— Och, ty...

Do pokoju wpadł Tomek w rozpiętej burce:

— Lody ruszyły! Chodźcie prędko, co za bajeczny widok! Most drży, trzęsie się, jęczy, jak istota żywa w paroksyzmie febry. Kruszą się kry, woda szaleje, pieni się, coś potężnego! Widziałaś ty kiedy Beno, jak lody ruszają? Co? Wiosna z powrotem! Aa! Taki rozkoszny, ciepły wiatr, aż się coś w człowieku pręży... anioł czy zwierzę, trudno dociec.

— Idziecie? Mama też?

Stara pani odłożyła robotę i sięgnęła po gruby szal, rzucony opodal.

— Lody ruszyły... naturalnie, że idę z wami.

Szybko zarzucili okrycie i szli w milczeniu przez rozmiękłe błoto wiejskiego gościńca ku

rzece. Noc była księżycowa, bardzo jasna, a od południa leciał ciepły wiatr, zwiastun wiosny i szumiała bujną pieśń życia rozszalała, wezbrana rzeka.

Płynęły lody, płynęły środkiem rzeki, pędząc po mętnych, żółtawych falach, wspinając się na przęsła mostu i rozpryskując w kawały, lśniąc w świetle księżyca, jak srebro. Most drżał, jęczał, walczył, zdawało się chwilami, że woda uniesie go z sobą, że nie wytrzyma naporu lodów... trwał.

Na poręczy pochylili się ludzie, zdawało się im, gdy patrzyli w dół, że płyną wraz z tą zawrotną, rozszalałą, wiosenną falą, że ich porwała i niesie w nieznaną dal.

Szło życie od tej wody, zrywającej okowy lodu. Szło życie, od tego ciepłego, wonnego wiatru, co muskał twarze, jak pocałunek.

— Może... ostatni raz... — Myślała stara pani Bruszczycowa i nagle, jakoś łagodniej spojrzała w życie.

— Wiosna! — Pełne ciało Wikty tuliło się kurczowo do poręczy mostu i prawie nienawistne spojrzenie padło na twarz męża i w niej tak coś szalało, prężyło się, rozsadzało okowy, jako ta fala wiosenna, tam, w dole.

Żyć!

Szaleć!

A Mieczysław patrzył w wodę, coś ze snu miała ta noc i ciągnęła z nieodpartą siłą, ta fala spieniona. Jeden skok i te rozszalałe kry starły-

by człowieka na masę, na krwawy, martwy strzęp... i tak byłoby może najlepiej.

Gdyby tak teraz oderwał się ten kawałek mostu, na którym stoi on i Wikta, gdyby nagle śmierć zajrzała im w oczy... Gdyby tam, te lodowe kry, skłębiły się, starły, miażdżąc ich ciała.

Czyż można tak nienawidzić i równocześnie nie móc się oprzeć słabości wspomnień? Życzyć jej śmierci, a jednocześnie pragnąć jej dla siebie, jedynie dlatego, by na jej ostatnie chwile nie patrzeć.

A zdaje mu się nieraz, że zdołał tak zobojętnieć na wszystko, iż poza pracą nic dlań nie istnieje: ani miłość, ani nienawiść, ani pragnienie, iż jest wśród ludzi tem, czem słup telegraficzny wśród drzew, muska go słońce, wiosna, ale ani się zazieleni, ani tęsknie zaszumi z wichrami, on, martwy pień!

A oto nagle tęsknota śmierci, olbrzymiejąca w piersi, do opanowania trudna.

Jedna chwila męki? rozkoszy? Któż odgadnąć może, a potem?

— I cóż Beno? — Dobiegł go podniesiony głos Tomka, usiłującego przekrzyczeć huk łamiącej się kry, jęk mostu i dziką, weselną pieśń wody.

Prawda, na bratową musi to oddziaływać specjalnie, bo przeżywa takie wiosenne, nagłe rozpętanie natury, pierwszy raz w życiu. Spojrzał ku niej, w świetle księżyca zobaczył jej drobne, śniade ręce, trzymające się poręczy, a w wyrazie twarzy dziecięcy zachwyt, modlitwę bez słów,

korną, zachwytu pełną modlitwę, wobec potężnego dzieła Stwórcy.

Udzieliło mu się to jej wzruszenie.

Most drżał, kołysał się, chwiał...

Stary pan Bruszczyc usiłował namówić ich, by zeszli na drogę, ale jest coś wspaniałego, przykuwającego w tym pędzie wody, niosącej krę, w rozbudzonem nagle życiu i nikt z nich od tego widoku oderwać się nie mógł.

Myśli nasze wirują teraz nad topielą, a jakie muszą być inne. Przemknęło w mózgu Mieczysława: — Jakie zasadniczo inne. Chociaż w nas wszystkich budzi ten rozpętany słońcem żywioł spontaniczną siłę i w nas coś tak szaleje, pędzi i rozbije się o przęsła mostu, zbudowanego wychowaniem, dziedzicznością, nawykiem i rzadko tylko woda most zrywa... jęczy on często, drży, chwieje się, ale... trwa! Wielkim jesteś Panie i wielkiemi są Twoje dzieła!

Człowiek odbije się we wszechświecie a wszechświat w nim. Mieczysław czapkę zdjął, bo wydało mu się to nagle jakąś koniecznością nieodzowną, wobec tej potęgi natury i Boga.

Zeszedł wreszcie z mostu, podał matce ramię i poszli ku dworowi.

Staruszka szła w milczeniu, opierając się ociężale na ramieniu syna i dopiero w pobliżu dworu, zawarte usta rozchyliły się:

— Od pięćdziesięciu lat, co roku patrzę, jak lody ruszają wiosną i w każdym roku, inne to na mnie sprawia wrażenie. Dawniej upajała mnie ta walka, zdawało mi się, że biorę w niej udział,

że cząstką jestem tej rzeki życiem radosnej, później, patrzyłam już tylko, jak na groźny, wspaniały, nieporównany w swem pięknie obraz, a teraz... teraz zaczynam się lękać tej mocy, co lody rozkuwa. Słuchaj Mietku, dawno już z tobą pomówić chciałam. — Oglądnęła się niespokojnie i zobaczywszy, że reszta towarzystwa daleko została za nimi, ciągnęła dalej: — Dlaczego ty z Wiktą nie żyjesz, jak Bóg przykazał, młoda jest, zdrowa, to wbrew naturze takie życie.

Nie mogę inaczej mamo... nie mogę pieścić kobiety, którą nietylko dawno przestałem kochać, ale którą wprost gardzę!

— Przysiągłeś...

— Przysiągłem uczciwość małżeńską i tej dotrzymuję, pomimo, że i ja młody jestem, zdrowy i silny.

— I czemże wy jesteście dla siebie?

— Niczem...

— I dlaczego ci ona jest taka wstrętna?

— Bo ma duszę prostytutki... mamo. Można kobiecie przebaczyć nawet upadek, nie można darować, gdy jest trędowata duchowo.

— Boże... Boże... — Pani Bruszczycowa milczała chwilę, a potem idąc za tokiem swoich obaw, mówiła dalej: — Żeby chociaż Tomek był szczęśliwy, żeby chociaż Tomek... Jej nic zarzucić nie mogę, cicha jest, cierpliwa, wydaje się dobra, ale Tomek... może ja się mylę, ale zdaje mi się, że już nie patrzy na nią tak, jak dawniej, a ona też coraz smutniejsza się zdaje.

— W Borach trudno o radość.

— Teraz tak. Ale dawniej, o dawniej Bory były zawsze radosne, gdy wyście byli mali. — zatrzymała się nagle, lewą ręką przyciskając bok: — Tak mnie dziwnie zakłuło.,. o Jezu! — i znowu... Spocznijmy chwilę, starość widzisz. Słuchaj Mietku, gdy dzieci niema, to jakiż cel ma praca i żacie?

— Mamo droga, dzieci są to owoce drzewa, wcześniej czy później odpadają, a drzewo trwa, rozwija się, rośnie. Nie poto chyba nas Bóg stworzył, byśmy tylko zapełniali ziemie mniej lub więcej udanemi płodami, ale po to także, by duch nasz szedł drogą rozwoju. Stworzone z ciała, śmierci przypada, owoc ducha nieśmiertelny jest. Pracować dla innych to też cel równie święty, a może i świętszy, aniżeli dla swoich, pracować nad własnem duchowem udoskonaleniem, to życia największa treść.

— Tak... owoce z drzewa odpadają. — Szepnęła staruszka. — I pustka zostaje. A najdziwniejsze to to, że dziecko, któremu daliśmy życie, które z nas i w nas powstało, staje się nam zczasem obce, niezrozumiałe, niesie nam szacunek i miłość, nie niesie zrozumienia. Ot i wy... przecież teraz, to ja nie wiem nic ani o waszych dążeniach, ani o waszem wewnętrznem życiu, moja ręka, tak samo jak dawniej, nakręca maszynerję gospodarstwa domowego, ale wtedy, dawniej, przybiegaliście do moich kolan z każdą troską, z każdą radością, a dziś? Czasem mi się zdaje, że umarłam dla was, chociaż żyję. I za-

krzepnęłam tak jakoś sama w sobie... może i ja nie jestem już tą, którą byłam wtedy.

Żal ogarnął Mieczysława. Prawda, ta zimna, zawsze jeszcze piękna staruszka, od lat już nie brała udziału w ich życiu... tak jakoś... nieznacznie, a wciąż oddalali się wzajemnie. Z ojcem wyczerpywała się rozmowa na kwestjach gospodarczych, polowaniu i tak dalej, z matką dotykała przeważnie zagadnień finansowych lub codziennych potrzeb życiowych. Płacili zdawkową monetą pochwały za ciasta udane, za czysty dom, nie myśląc nawet, ile w tem było jej trudu, nie zastanawiając się nigdy nad tem, że gdy pracowite ręce wieczorem jeszcze haftowały dla kościoła, dusza tej kobiety może pragnęła iść śladem ich myśli, młodnieć ich młodością, zapalać się ich zapałem, a oni, jak skąpcy, zazdrośnie chowali swoje skarby. A może tylko... i oni, naprawdę nie mieli się czem dzielić.

Jednak ramię Mieczysława przytuliło pieszczotliwie rękę starej kobiety, jak gdyby przeprosić pragnął, za tę mimowiednie, od szeregu lat, wyrządzaną krzywdę, a głos jego ciepły był i miękki, gdy rzekł jej otwarcie:

— Widzisz mamo, życie jest ciężkie, a człowiekowi łatwiej jest czasem przemilczeć coś, niż wypowiedzieć. Radość dzielona ma swoją rację bytu, ale ból... najlepiej zachować dla samego siebie.

— Masz słuszność, synu.

I po tych prostych słowach odczuli oboje, że

jednak nie są sobie tak obcy i dalecy, jak im się zdawało, bo zrozumieli się.

Długo w noc paliła się tego wieczora lampa w gabinecie Mieczysława, długo w noc ciemna sylwetka mężczyzny rysowała się w okiennej ramie. Dwór spał, światła pogasły, słychać było tylko huk pękającej kry i rozszalałą pieśń rzeki. A człowiek chłonął w pragnącą duszę piękno tej nocy żywiołowo potężnej i wielkiej.

I nie zwrócił nawet uwagi, że ciemną aleją ogołoconych z liści kasztanów, przesunęła się zręczna sylwetka mężczyzny i zniknęła w prawym skrzydle dworu, tam... gdzie były pokoje jego żony...

V.

Stara pani Bruszczycowa zachorowała, przeziębła nad rzeką i dostała zapalenia płuc, w nocy przyszła gorączka, kłucie w piersiach, kaszel, o wczesnym ranku posłano po lekarza. Zabrakło nagle ręki, która nakręcała gospodarczy zegar domu, na marmurach kredensów osiadł szary pył, na śniadanie trzeba było czekać, obiad był podany mniej wykwintnie i zabrakło świeżych kwiatów u nakrycia. Niedopałki papierosów palonych przez Tomka i Wiktę zaśmiecały pokoje, nie było komu zwrócić im uwagi, że są popielniczki.

W pokoju chorej zajęła miejsce Benigna, zimne, trochę nieufne oczy starej kobiety obserwowały ją skrycie i zaczynały patrzeć jakoś inaczej, jakoś serdeczniej i tkliwiej. Te ciemne, drobne ręce, tak ostrożnie zmieniały okłady, tak troskliwie podawały pożywienie i lekarstwo, że w chwilach, gdy gorączka słabła, w duszy starej kobiety budziła się wdzięczność dla synowej. Wreszcie przesilenie minęło, chora obudziła się

bardzo słaba, ale bez gorączki i spotkała promienne spojrzenie młodej kobiety.

— Jakże tam ze mną, Beno?

— Zupełnie dobrze mamo... przyszły silne poty, sen, a teraz z pewnością masz jakie trzydzieści sześć stopni, ale ani odrobiny więcej.

— A więc... śmierć odeszła... odeszła jeszcze. Z westchnieniem ulgi staruszka oparła głowę na poduszkach, zdawało się jej w tych dniach ostatnich, że widzi wciąż jakąś mglistą postać, przyczajoną w mrokach pokoju i nieraz godzinami trzymała rękę Beny, byle tylko czuć obecność żywego człowieka, byle tylko nie widzieć tej czatującej w mroku zjawy. A oto odeszła... przez okno spływa jaskrawa pełń słońca i radosny, przedsiębiorczy szczebiot ptaków. Życie!

A oto Bena przynosi filiżankę kawy i pachnące, świeże, masłem posmarowane bułeczki, wpierw jednak podaje wodę ze szklanką i miednicę, a pani Bruszczycowa pozwala się myć i myśli, że jednak piękny jest powrót do życia i życie samo, że te drobne, śniade ręce synowej, takie są w dotknięciu miłe, jak gdyby dłonie rodzonego dziecka, a kawa musi być pyszna, bo tak pachnie. I gdy wreszcie pije tę rzeczywiście pyszną kawę, zwraca uwagę, że w tej pełni słońca, synowa wygląda jak cień i wdzięczność wzbiera w jej trudno dostępnem sercu.

— Beno.

— Proszę?

— Choć tu bliżej... jeszcze bliżej... — Szczu-

pła ręka chorej opada na pochylony kark młodej kobiety i przyciąga ją ku sobie, w pocałunku:

— Dziękuję ci, moje dziecko.

I w tej chwili głuche łkanie wydobywa się z piersi Beny, osunęła się na kolana, wtuliła głowę w kołdrę i płacze.

— Co ci jest?

— Nic... tylko mi tak dawno... dawno nikt nie powiedział: moje dziecko.

— No, cicho... cicho... zdobyłaś sobie starą matkę, bo dobrą byłaś dla niej... ot i wszystko.

Wiosenne słońce pełnią blasku ogarnia twarz chorej starczą, wychudłą, rozjaśnioną radosnym uśmiechem i młodej ciemną, wzruszoną.

* * *

Hej! Jak powietrze pachnie, jak chlupota wiosenne błoto pod kopytami konia, drogą do Putiłowskiego folwarku jedzie Tomek, chciałoby mu się śmiać i śpiewać, tyle życia w nim jest, co i w tej budzącej się dokoła naturze.

Posępny dwór w Borach z atmosferą choroby i smutku, został poza nim. A słońce świeci, jaskrawe, młode słońce, co gdy martwy pień drzewa pocałuje, to w nim życie zbudzi.

Las... Rozigrane słoneczne plamy na podścielisku igieł opadłych, gawęda wiatru i buńczuczny śmiech uwolnionego z lodów strumienia. Przewala się tam w jarze, wśród zmurszałych pni, omszałych kamieni i gwarzy na cały las.

Z za drzew czerwona zapaska miga, jak wielki, błędny, jaskrawy kwiat.

Koń Tomka zrównał się z dziewczyną, zbiera opadłe gałęzie, młoda jest, rosła, nieładna, ale ma oczy wyzywające i usta bardzo czerwone. Pan z Borów zapatrzył się na te usta i... konia wstrzymał.

— A cóż to? Gałęzie smykasz? Kartkę masz?

— Z gajówki jestem.

— Córka starego Lechonia?

— Kasia.

Cofnęła się o krok i stała teraz w pełni słońca. Tomek widział, jak młode usta się śmieją, a pod koszulą z surówki faluje pełna pierś. Słońce ją upiękniło, rzucając refleks złoty we włosy płowe, malując brzegi koszuli i ciała pełnią światła.

— Ładna jesteś...

— Dyć wiem...

— Bardzo ładna... — Uśmiechnął się Tomek i przechyliwszy się nagle, objął ręką szyję dziewczyny.

— O... widzicie go! Jaki!... — Szarpnęła się, ale tak jakoś, że jej wyzywające, roześmiane usta znaazły się w pobliżu Tomkowych. Pachniało od niej mydłem i wiosną. I Tomek pochylił się i pocałował, jak zrywa się owoc dojrzały we własnym sadzie.

Myślał, że mu się wyrwie i ucieknie, ale nie, na strzemię się wspięła i nagle przywarła do niego cała, gorąca, młoda, dysząca uciechą, opętała mu szyję ramionami i ucałowała. Śmiała się

i całowała. Teraz on był stroną napadniętą, koń zaczął się niecierpliwić, dziewczyna oplotem jędrnych ramion u szyi zawisła i nie puszczała.

— Puść-że — szalenico!

— Chcieliście, to macie. Jeszcze! jeszcze! No? Dosyć wam... co?

Ze strzemienia uskoczyła i śmiejąc się, w las pomknęła, a Tomków koń za nią.

Jędrne łydki migały z pod krótkiej spodnicy, w przestrzeni przelewał się śmiech, złośliwy, swawolny. Kilka razy głowę odwróciła i nagle wpadła w gąszcza młodej świerczyny, zaszyła się gdzieś w nią, przepadła.

Tomek konia wstrzymał, zawrócił i zaśmiał się też:

— Złapię cię jeszcze, nie bój się!

— Albo to się boję?! — Zadzwoniło gdzieś z krzaków.

— Jak przyjdziesz sama, nie mnie za tobą po świerczynie uganiać.

— Jušci... portków szkoda, a przytem... żonatemu nie przystoi.

— Wiedźma jesteś.

— To uciekajcie, bo was zaczaruję.

Tomek z konia zeskoczył, ramiona w stronę świerków wyciągnął:

— To czaruj!

Piękny był, zręczny, szła od niego siła męskości, urody i dziewczyna nagle, jak dziki kot, na pierś mu skoczyła:

— Mój!

*
* *

W godzinę potem Tomek wracał z poczuciem palącego, czerwonego wstydu, upokorzenia, wstrętu do samego siebie, a gdzieś pod temi wszystkiemi uczuciami, czaiło się zadowolenie z własnej siły i z życia.

Matka, Bena, wszystko, wypadło mu z pamięci, tam, na owej polanie w lesie, a teraz wracało i wywoływało w nim żal głęboki, szczery, niemniej szczerą była jednak myśl, że jutro Kaśka przyjdzie w to samo miejsce, a on... także. Nie umiał być panem własnej woli, rządziła nim chwila, wstydził się samego siebie i jechał coraz wolniej, jak gdyby pragnął w nieskończoność odwlec chwilę powrotu do domu i wciąż bezwiednie wracał wspomnieniami do dzikich, żywiołowych pocałunków dziewczyny.

A w domu pierwszą osobą, którą spotkał, była Bena, uśmiechnęła się do niego radośnie:

— Wiesz Tomku, kryzys minął szczęśliwie i wszystko będzie dobrze.

Jakiż ja jestem podły! Zapomniałem nawet, że to dziś właśnie... mama... Ech! Przytulił do ust rękę żony i zdawało mu się, iż dotknięcie tej dobrej, ciemnej dłoni ściera mu z ust palący żar tamtych pocałunków.

VI.

— Proszę wielmożnego pana... ja dawno chciałem coś powiedzieć... jeno nie bardzo śmiem... Ale tyle już lat służę i pana znam, jeszcze gdy się ledwo drypać uczył... to i... wielmożny pan nie pogniewa się za śmiałość.

Mieczysław oderwał oczy od książki z głęboko odczutą przykrością, szedł szlakiem ludzkiej, podniośle pięknej myśli, a oto ten starczy głos, ściągał go z powrotem do dusznej atmosfery w Borach. I był w tonie jego głosu lekki akcent tłumionej niechęci, gdy zapytał:

— Cóż to takiego?

— Wielmożny pan wie, że znowu przyjdą żądać podwyżki, wiosenne roboty u progu, to chcą grozić strajkiem, ale oni nie sami z siebie, u nas dobry lud, chociaż zachłanny na grunt, jak i wszędzie. Wiedzą, że majątek zniszczony i że sam pan walczy z trudnościami, ale jest taki co mąci.

— Kto?

— Ludzie pamiętają czasy najazdu bolszewickiego i to, że wielmożny pan niejednemu drze-

wo dał na odbudowę i bydłem dopomógł, ale naród słaby jest, temu posłuch da, gdy ktoś podburza, słyszą, jakie to po świecie ludzie pieniądze za dniówkę biorą i krzywda się im widzi. Trzebaby proszę wielmożnego pana... ja może głupi jestem i stary, ale...

— Niechże Jan powie nareszcie, o kogo chodzi.

Stary sługa miał zakłopotaną minę, czyścił z przejęciem po raz setny może klamkę, która lśniła już i tak, jak polerowane złoto. Wreszcie mruknął:

— A no tego... Georga... dawnego szofera, co to u nas do koni został... Mówią o nim proszę wielmożnego pana... ale co te ludzie nie mówią... zawsze jednak lepiej, żeby nie mówili, nie mieli przyczyny, żeby usunąć tego pyszałka, co rozpowiada w czeladnej różne, z palca wyssane historje.

— Jakie historje?

— Kiedy... bo... to trudno powiedzieć... jako że on i niby pani... wielmożnego pana żona...

— Jan głupstwa plecie.

Stary sługa spojrzał ku niemu, a w jego małych, błękitnych oczach, było tyle pokory, żalu, wzruszenia, iż Mieczysław odczuł, że ten nie umie kłamać.

— Więc jeszcze i to... — myślał z goryczą. — Z własnym sługą i to w domu, gdzie żyje jego matka. Nie, stanowczo, rozmówić się z nią trzeba i...

— I co?

Coś drwiąco zaśmiało się mu w duszy, koszta, nowe wydatki, adwokaci, sąd, gaudium dla wszystkich... i wkońcu. Wszakże właściwie nie wiesz nic pewnego, paplanina starego, przywiązanego sługi... Najlepiej wyrzucić Georga, a wszystko pozostawić po dawnemu. Boże! Jak tu duszno..

Spojrzał w stronę sługi, czyścił jeszcze klamkę, ale jego twarz opanowała już wzruszenie i miała kamienną nieruchomość dobrze wyćwiczonego lokaja.

— Niech mi Jan zawoła Georga.

Stary uśmiechnął się i cicho wyszedł, a Mieczysław uspokajał się zwolna, chwilowy wybuch ujmował żelazną siłą woli.

Cóż mu ona? Obca i więcej niż obca!

I gdy do gabinetu wszedł Georg, młody, dwudziestokilkuletni chłopak, o jasnej czuprynie i błękitnych, niespokojnych oczach, spojrzał mu w twarz, tak obojętnie, jak każdemu innemu ze sług.

— Pan mnie kazał wołać.

— Tak, mam z tobą do pomówienia. Pozostałeś w służbie, gdy nam auto zabrali prusacy, jako masztelerz, obecnie, jak zresztą wiesz, mam zamiar sprzedać konie cugowe i pod wierzch, ograniczając się jedynie do jednej pary koni powozowych i jednego wierzchowca. Wobec tego twoje miejsce staje się zbędne i musisz sobie poszukać innego. Od pierwszego jesteś wolny.

— Może... mógłbym zostać przy maszynach, przyzwyczaiłem się i...

— Przy maszynach Paweł zupełnie wystarcza, a jest żonaty, więc mu się przenosić trudniej.

— Może gdzie na gajówce?

— Nie mam miejsca dla ciebie.

— To proszę mnie zwolnić zaraz... djabli mnie i tak nie wezmą.

— Owszem, zgłoś się po południu do kancelarji, to ci zapłacę.

Georg wyszedł, a Mieczysław zagłębił się znowu w czytaniu, gdy nagle otworzyły się drzwi i w progu stanęła Wikta; była w amazonce i zaczęła zaraz:

— Czy to prawda, że oddaliłeś Georga?

— Jest zbyteczny.

— Także! Któż mi będzie towarzyszył na przejażdżkę?

— Nikt. Wogóle będziesz musiała zaniechać jazdy konnej, długi Tomka i złe konjunktury gospodarcze, zmuszają mnie do zmniejszenia stajni.

— Nawet to.

— Tak... nawet to. Gdy się chce uratować całość, musi się poświęcić poszczególne części. Zresztą długo żyliśmy nad stan, wkładając w gospodarstwo mało pracy, a obciążając co raz nowemi długami hipotekę.

— Daj Georgowi jakieś inne miejsce.

Podniósł ku niej oczy i patrząc w nią uważnie, rzucił spokojnie:

— Dlaczego?

Wzruszyła ramionami, wytrzymując siłę jego pojrzenia.

— Tak, dla mojej fantazji. Chłopak przywiązał się do Borów i będzie mu ciężko odejść.

Uśmiechnął się.

I z powodu tego, szczególniejszego przywiązania, szerzy po wsi i wśród czeladzi idee strajków rolnych? Podburza robotników. Zresztą, wypowiedziałem mu już i nic mojego postanowienia nie zmieni.

— Nawet moja prośba?

— Nawet... twoja prośba.

Myślała chwilę z pochyloną głową, z niespokojnym błyskiem w bławatach oczu, wyglądała cudnie, nagle jej ręka opadła na jego rękę, a głos zniżony, rwący się wzruszeniem prosił:

— Dostarcz mi środków do wyjazdu, jeżeli kochałeś mnie kiedy!

— Mówiłem ci Wikto...

Przerwała mu:

— Wiem. Ale jeżeli na pokrycie długów Tomka możecie znaleźć kilka miljonów, to znajdziesz miljon dla mnie, wyjadę i... nigdy nie wrócę. Słyszysz Miet... nigdy. Czyż to nie warto kosztu, pomyśl, przestanę dla ciebie istnieć.

— I pójdziesz w przepaść.

— Co cię obchodzi, co się ze mną stanie? Pójdę w życie, którego pragnę, będę szczęśliwsza z pewnością, niżeli tu.

Zbladł, przez krótką, jak mgnienie chwilę nasunęła mu się myśl: daj jej odejść... ale odtrącił ją zaraz:

— Rodzice twoi powierzyli mi cię Wikto, nie

tylko ciebie, ale i twój honor, zostaniesz i musisz zostać ze mną.

— Choćbyśmy się nienawidzili?

Ja z mojej strony nie czuję do ciebie nienawiści.

— Wiem, jeno obojętność i pogarda. Nie istnieje dla ciebie, więcej współczucia poniósłbyś może tej muszce, co się tam o szybę tłucze, aniżeli mnie, jej otworzyłbyś okno, a mnie chcesz uczynić twoim więźniem.

— Ta mucha, prawdopodobnie, uleciałaby ku słońcu, a ty...

— Ja? Pójdę w życie!

Wyprężyła się, ramiona wyciągnęła do roześmianej wiosennej natury za oknem i kończyła:

— Młoda jestem, piękna jestem i żyć chcę! Bory, to powolne konanie.

Mieczysław podszedł ku niej i rękę oparł na jej ramieniu, a głos miał łagodny i cichy:

— Czy ty nie rozumiesz Wikto, że człowiek nie powinien być sługą i niewolnikiem swoich zmysłów? Życie zmysłowe wogóle obniża moralną wartość człowieka, o ile nie nosi piętna miłości duchowej.

— Więc mi nie dasz pieniędzy? — przerwała.

— Nie.

— Ostatnie twoje słowo, Miet?

— Ostatnie.

— Dobrze. Kazanie schowaj dla innych. — Rzuciła mu spojrzenie złe, a potem nagle za-

śmiała się i zapalając papierosa rzuciła: — Życie jest naprawdę marną komedją.

— Życie jest takie, jakiem je uczynimy, Wikto. Dla marnego komedjanta, marną komedją.

— Dziękuję. I cóż dalej.

— Człowiek zastaje dekorację i scenę, a może z góry przepisaną treść sztuki, ale siłę odczucia sam wnosi, czasem gra ramy sztuki rozsadzi i lotem staje się słonecznym, a czasem częściej aktor nie dorasta do roli, wypacza myśl twórcy i kładzie sztukę.

— No, to myśmy naszą sztukę gruntownie położyli. Słuchaj Miet. — Strzepnęła popiół z papierosa i rzucając mu spojrzenie z pod rzęs, zapytała: — Czy można z tobą pomówić... na rozum? Nie jak z mężem, ale jak z kimś rozsądnym a zupełnie obojętnym.

— Proszę... mów.

— Jesteś tak zupełnie pewny twojej obojętności?

— Przynajmniej tego, że cokolwiek mi powiesz, potrafię wysłuchać spokojnie.

— I nie wylecisz z równowagi?

— Nie.

Kobieta usiadła na poręczy klubowego fotelu, na którym siedział Mieczysław, czuł tuż obok siebie jej ciepłe, młode ciało, zawrotną woń hypru i ciężką papierosów egipskich.

— Wiesz... że Georg jest moim kochankiem?

— Milczał, nic nie drgnęło w jego spokojnej, ciemnej twarzy, a ona pochyliła się nagle nad nim i rzuciła zdławionym szeptem:

— Matką mam zostać, wyjechać muszę, rozumiesz teraz... dlaczego? Muszę! Muszę zapobiec, by się to nie stało.

— Spojrzał ku niej:

— I miałabyś sumienie zabijać?!

— Przecież to jeszcze nie żyje.

— W tobie... już żyje.

Milczeli, kobieta paliła papierosa, mężczyzna podniósł się i do okna podszedł, nie mógł znieść jej pobliża, pogarda i wstręt do tej pięknej samicy urosły w nim do bezmiaru, a równocześnie ogarnął go ciężki, beznadziejny smutek.

Rzucić jej pieniądze, których chciała, niech jedzie i robi co chce.

I stać się wspólnikiem zbrodni?

— Więc co?

Co?!

Przyjąć za swoje...

I wprowadzać w życie wszystkich kłamstw.

Przypomniała mu się impertynencka twarz Georga i pomyślał, że dziecko może być podobne do niego. I patrzeć ma nań co dnia.

A jednak zawsze i w każdej chwili trzeba być człowiekiem.

Nie odwracając głowy, rzucił spokojnie na pozór.

— Uznam je... za swoje.

Drgnął i spojrzał ku niej zdziwiony: kobieta się śmiała, przechyliła w tył złotą głowę i śmiała się, rozbawiona, aż jej bławatowe oczy zwilgotniały.

— Ależ ty jesteś głupi! I zdaje ci się, że ja,

jak pokutująca za winy Magdalena, zostałabym w Borach! Nie! Na to naprawdę potrzeba być tobą! Innej rady nie masz?

— Nie.

Wyrzuciła papierosa za okno i nagle spoważniała, widziała, że ten, pozornie obojętny człowiek, wsparty tam, o ramę okna cierpi, dojrzała w jego oczach mękę, dostrzegła jak w tych kilku minutach sine cienie podkrążyły mu oczy. I była w niej radość i żal.

Zemściła się, iż ją wykreślić zdołał tak zupełnie ze swego istnienia, ale w jej mściwej radości łkał ból. I nagle rzuciła głosem zmatowanym przez łzy.

— Dobry jesteś... dziękuję ci.

Wyszła.

A on... w piersi mu nagle zabrakło tchu, serce w niej szalało, jak gdyby pęknąć miało za chwilę.

Z trudem doszedł do umywalni i mokry ręcznik do obnażonej piersi przyłożył.

Pomału, pomału, atak duszności się zmniejszał, serce biło wolniej, uspokoiły się tętna, ale pozostał bezmiar znużenia i jedno wielkie pragnienie nie myślenia o niczem, tęsknota za spokojem, chociażby śmiercią...

VII.

Księżyc świecił, jasna smuga światła wpadała w głąb pokoju.

Korytarzem szła smukła, zwinna postać, za każdym szmerem przystawała i znowu szła dalej... cichutko zgrzytnęła klamka, postać prześliznęła się wzdłuż ściany, aż do łóżka starej pani Bruszczycowej. Chora spała, z pod białego czepeczka niewyraźnie rysowała się chorobą zmieniona twarz, o ostrej linji nosa. Wychudłe, wątłe ręce spoczywały na ciemnym jedwabiu kołdry. Postać u łóżka przyklękła, ostrożnie wsunęła rękę pod poduszkę i pochwyciła klucze.

I znów jak cień wróciła do staroświeckiego biurka, bez wahania otwarła szufladę. Błękitny blask księżyca padł na cudną, śmiertelnie bladą twarz Wikty. Bruszczycowej kradła.

Wrzucała szybko szereg staroświeckich, pluszowych pudełek w kraj swego jedwabnego szlafroka... wszystkie... Zasunęła szufladę, ale już nie odniosła klucza i nie położyła go pod poduszkę śpiącej, na biurko rzuciła list i wyszła równie cicho, równie bezszelestnie, jak weszła.

— Masz? — Pytał czyjś szept zdławiony w korytarzu.

— Może i mam...

. . . .

Wstał cudny, wiosenny ranek i słońce rzuciło garść złotych, gorących promieni w szyby dworu w Borach. Benigna wstawała teraz bardzo wcześnie, bo tak jakoś się stało, że do niej zwracała się służba po rozkazy, ona pilnowała gospodarstwa kobiecego, spełniając drobiazgowo polecenie świekry i ład powrócił. Lubiono ją, za jej słodycz, łagodną pogodę, nie żartowała i nie śmiała się z ludźmi, jak Wikta, ale jej spokój udzielał się otoczeniu i szanowano ją, tak prawie, jak starszą panią. Żyjąc tedy w Borach, Bena odczuwała żywo braki we własnem wykształceniu i usiłowała w wolnych chwilach dopełnić ich, czerpiąc z bibljoteki.

Wybiegła do ogrodu i szła aleją nagich jeszcze drzew. Tam, w kącie pod płotem zauważyła wczoraj pierwsze śniegułki, a białe ich dzwoneczki kołysały się teraz rozwite. Uklękła uradowana i zbierała je, uśmiechając się. Przypomniały się jej Indje, jak z matką co rana odmiatała przed progiem złocisty piasek i jak obie sypały z listków kwietnych wzorzysty kobierzec. A przed każdym domem czyniono toż samo, jak pacierz to było poranny. A potem przypomniały się jej te kobierczyki z kwiatów plecione, jakie nosiły z matką do świątyni, ojciec gniewał się na nie,

bo wszakże chrześcijankami były obie, ale tak je pociągała poezja dawnego kultu, że nie mogły się rozstać z tym kwietnym hołdem, składanym dawnym bogom. A gdy poznała sir Teobalda, to modliła się równie gorąco przed ołtarzem Matki Boskiej, jak i przed świętym lignum, które przybierała wieńcem róż białych i purpurowych w świątyni życiodajnego Wisznu.

Jak sen to było wszystko, jak sen bezmiernie już odległy, w szczegółach do przypomnienia trudny.

Trzebaby jednak spróbować i do ojca napisać znowu. On tak tęsknił do Polski, radościąby mu może było że ona w niej jest, opisać mu zimę, dwór w Borach, opisać tę wiosenną, śmiejącą się przyrodę... opisać po polsku.

Bena przytuliła garść pierwiosnków białych i wracała wolno ku dworowi, cichutko weszła do pokoju matki męża i uśmiechnęła się:

— Wiosnę ci przyniosłam, rozwiły się takie bieluśkie dzwoneczki, mamo.

Pani Bruszczycowa bezwiednie prawie wzięła z rąk Beny garść kwiatów białych.

— Moja droga, kluczy nie mam pod poduszką a szufladka w biurku uchylona... kto tu mógł być? W tej szufladzie miałam rodzinne klejnoty i... otwarta. Gdy zobaczyłam, chciałam wstać i siły mnie opuściły, musiałam wrócić do łóżka. Zobacz... przynieś mi szufladę tutaj... Boże, kto tu mógł być?

— Nie słyszała mama nic?

— Nic.

Bena spojrzała w głąb niedbale zasuniętej szuflady i szepnęła zbielałemi ustami:

— Kiedy...

— Co?!

— Tu nic niema, mamo.

— Okradziono mnie!

Stara pani porwała się z łóżka i drżące wysiłkiem dłonie zatopiła w próżnej szufladzie, nie wierząc świadectwu własnych oczu. Nic w niej nie było... nic!

W tej chwili wzrok Beny spoczął na porzuconym papierze.

— Jest jakiś list. Mamo droga, uspokój się, wróć do łóżka... chłodno jest w pokoju i zaziębić się łatwo... połóż się, proszę. Może ten list wyjaśni nam całą tę sprawę.

Stara pani dała z sobą robić wszystko. Bena ułożyła ją, otuliła kołdrą i papier podała.

— Czytaj ty.

Droga mamo! Miet nie chciał mi dać pieniędzy, a ja ich potrzebuję. Bory, to dla mnie śmierć, a ja chcę żyć. Zabrałam więc Twoje klejnoty i wyjeżdżam. Nie wrócę więcej... wracam Twemu synowi wolność. Trudno, gdy klatki otworzyć nie można, to trzeba wyłamać pręt. Ciebie jednej mi trochę żal, zrozumiałaś mnie czasami. *Wikta.*

Bena zamilkła, staruszka głowę ukryła w poduszkach i płakała.

— Co za wstyd! Biedny Miet i kto mu o tem powie? Kto? Ja, naprawdę sił nie mam.

— Jeżeli mama chce, mogę mu powiedzieć.

— Moje dobre dziecko... powiedz mu, powiedz zaraz. Wolałabym była temi klejnotami opłacić długi Tomka... ano skarał mnie Bóg, nie mogłam się rozstać z temi pamiątkami przeszłości, tyle pokoleń składało się na nie... ot i wszystko poszło i ani swego dochodzić ani jej ścigać... synowa przecież... synowa!

Bena schyliła się i zbierała rozsypane przy łóżku śniegułki.

— Idź i powiedz mu zaraz, Beno... zaraz, ona przecież nie może być jeszcze daleko... są teraz przecież różne prywatne biura detektywiczne... wyśledzą, nie pozwolą sprzedać... idź do niego zaraz, Beno...

— Dobrze mamo, ale.,.

— Co?...

— Czy nie lepiej, nie ścigać jej...

— Niech Miet rozsądzi... może masz słuszność, coby to jednak był dla nas za wstyd... W głowie mi się miesza, słaba jestem, niech Miet zrobi jak chce.

— Spróbuj zasnąć trochę...

Bena wyszła cicho, na korytarzu zatrzymała się jednak, myślała chwilę i zadzwoniła na służącego.

— Niech Jan poprosi pana Mieczysława do bibljoteki.

Czekała dość długo, a może jej tylko chwile wydawały się długie nieskończenie. Myślała nad tem, jak mu to powiedzieć i słów znaleźć nie

mogła, takich dobrych, oględnych, któreby ra. niąc... koiły.

A gdy wreszcie Mieczysław stanął w progu zdziwiony jej wezwaniem, tak mało dotąd zajmowali się sobą wzajemnie, iż przypuszczał, że stać się musiało coś złego, to ona straciła zupełnie tok myśli i podniosła ku niemu oczy wezbrane łzami. Silne, smukłe ręce, pochwyciły jej dłonie, a przyciszony głos pytał z pełnią współczucia i niepokoju.

— Dlaczego płaczesz? Co się stało, Beno? Czy Tomek? Czy mama może?

— O nie... tylko... mam ci powiedzieć, mama prosiła, żebym ci powiedziała i sama nie wiem jak, takbym pragnęła, by cię to nie dotknęło zbyt boleśnie...

— Mnie?

— Tak... Wikta...

— Och... to tylko o nią chodzi. — Odetchnął z ulgą.

— Uciekła zdaje się tej nocy...

— Więc przecież!

— I... zabrała klejnoty mamy.

Mieczysław cofnął się o krok, do śniadej twarzy uderzyła mu łuna rumieńca, przeczytał list, podany mu przez Benę... raz i drugi.

Tego jednak nie przypuszczał...

— I cóż mama?

— Kazała mi zawiadomić cię bezzwłocznie bo zdaniem mamy, należałoby zapobiec sprzedaży klejnotów... jednak całą tę sprawę pozostawiła do rozsądzenia tobie.

— Czy prócz nas i mamy wie ktoś jeszcze o tem, co się stało?

— Nikt.

— Słuchaj Beno... najlepiej zdaje się będzie upozorować ten wyjazd tem, iż stało się to za moją wiedzą i wolą. Duma ojca ucierpiałaby bardzo, dla mamy przyszłyby czasy trudne do przetrwania, bo prowincja jest zawsze ciekawa i zawsze złośliwa, ludzie mają zbyt wiele wolnego czasu i lubią babrać się w błocie. A tak... wyjechała, jak wyjeżdżała nieraz i koniec. Ani ojciec, ani Tomek nie potrzebują wiedzieć o tem, co się stało naprawdę. A klejnoty mamy...

Zawahał się i spojrzał ku niej.

— Byłyby one kiedyś przypadły tobie i Wikcie, ty właściwie jesteś stroną poszkodowaną. Jeżeli więc chcesz dochodzić sprawy, bezzwłocznie wyślę depeszę.

— Och ja... nie... — zarumieniła się i była teraz niezwykle piękną, oczy jej miały tyle wielkiej, cichej dobroci.

— Klejnoty miały dużą wartość, Beno... zapewne z półtora miljona, a może i więcej.

— Najlepiej zapomnieć, że istniały... mogliście je stracić podczas najazdów pruskich i bolszewickich i teżby ich nie było.

— Dziękuję ci.

Łagodnie oparła rękę na jego ramieniu.

— Najlepiej wszystko oddać zapomnieniu... wszystko mija. Czas wszystko zaciera to, co chwilowo wydaje się nam ciosem strasznym

w swej mocy, po roku już, wspomina się tylko jak odległy, przykry sen.

— A czy wiesz Beno... że ona nie wyjechała sama?

— Tem biedniejsza.

— Tak, masz słuszność, tem biedniejsza, — przytwierdził cicho.

Milczeli, zdaleka dobiegał jednostajny szum rzeki, a przez rozwarte okno wpływała owa dziwna, ledwo uchwytna, subtelna woń wiosny.

Są chwile, gdy milczenie staje się od słów wymowniejszem. Wielka radość, zarówno jak wielkie cierpienie, nigdy prawie nie wybucha potokiem słów i nigdy dusze ludzkie nie rozumieją się tak dobrze, jak wtedy właśnie, gdy usta milczą.

Po raz pierwszy Mieczysław odczuwał w bratowej silną i piękną duszę i ona, po raz pierwszy spostrzegła, że pod tym dachem, gdzie obco się czuła i sieroco, pomimo, że był jej własnym, jest ktoś silny i dobry i bliski: Tomek?...

— Nie, Tomek nie był jej bliskim, był gorąco kochany, kochany chwilami do szaleństwa, ale później obcy i daleki, noc ich łączyła... oddalał dzień. Nie rozumieli się, nigdy prawie nie mieli podobnych myśli, ni podobnych upodobań.

I myśl Benigny wracała często, zbyt często, do swojej pierwszej miłości, do tych bajecznych wieczorów księżycowych, do cichej, martwej wody świętych rzek. Splątały się w gąszcz ramiona drzew, spadał z nich deszcz kwiatów, pur-

puszowych, złotych... dżungla, a ona szła z sir Teobaldem, szli w milczeniu, słuchając szumu drzew, śpiewu ptaków, głosów puszczy, szli szukać storczyków w leśną głąb i ramiona ich splatały się, jak gałęzie drzew. Jakże bliskimi byli sobie wtedy.

Jego oczy przejrzyste, chłodne, błękitne, przypominały toń rzek, a słońce i miłość budziły w nich tyle skier, taką moc blasków, jak w wodnej fali, a wokół pachły kwiaty i dyszał ciężką piersią podzwrotnikowy dzień.

I wkońcu opadały usta na usta, taką słodką, zabójczą mocą.

Trzeba ci było Beno zostać tam, w ojczyźnie matki i żyć wspomnieniami.

Trzeba ci było w dżungli storczyków wonnych szukać, storczyków o aksamitnych, wonnych łonach i patrząc w wodę widzieć w niej oczy sir Teobalda. Odnajdywać zmarłe pocałunki wśród gąszczu drzew, przeżywać minione pieszczoty w misterjach nocy księżycowych, byłby pozostał czar, chociaż byłoby zabrakło sir Teobalda.

A tak... sir Teobald pozostał, a prysnął czar.

Nigdy wspomnieniem nie wracała do Angji chłodnej i mglistej, nigdy do sir Teobalda w wytwornym smokingu z gardenią lub storczykiem w butonierce, to nie był już jej sir Teobald, ktoś obcy, daleki, o chłodnych, krytycznych oczach, w których już świateł nie rozpalała miłość.

Z tym bogatym panem rozstała się bez żalu, ale z tamtym, z tamtym z dżungli, z tamtym, co

szedł przy niej młody, zręczny, smukły, z tamtym rozstać się nie mogła, szedł z nią przez życie i przyszedł aż tu, do dworu w Borach.

Odnajdywała go czasem w ramionach Tomka i myślała potem z mieszaniną smutku i lęku, że właściwie grzeszna jest bardzo, bo w ramionach męża należy do innego.

Ale taką rozkoszą było złudzenie.

A oto teraz z ciemnych oczu Mieczysława wyjrzało ku niej coś, co jej przypomniało spojrzenie tamtego i gorące słońce jej kraju, i woń kwiatów w dżungli, i ptaków śpiew, i splątane w uścisku gałęzie drzew.

Cichy, nieśmiały uśmiech spowił jej usta, gdy szepnęła cicho:

— Przypomniały mi się Indje.

— Dlaczego?

— Tam wszystko mówi... milcząc.

— Ty wyczuwasz w milczeniu mowę?

— O tak. W Indjach — mówiła — dżungla i wiatr, konary drzew i kwiaty, poszum rzek i ptaków śpiew opowiadały baśń. Nawet kamienie Dżejpuru dziwną fantazją Swai Jon Singa zamienione zostało w miasto, o którem może śnił, bo cudownie powstało, jak sen... I... niedokończyła.

— A tu?

— Tu też ziemia mówi... ale inaczej, może silniej, potężniej jeszcze, gdy śniegu szatę zrzuca i nagle młodą rozbłyska zielenią, to jest w niej coś, co potężne świadectwo zmartwychwstaniu

daje i wiarę budzi. Bo przecież życie ludzkie tak ściśle się łączy z życiem natury.

— Prawda? — podchwycił żywo — w słoneczny dzień człowiek radosny się czuje i szczęśliwy, a gdy niebo chmurne, to i myśli szare się stają, włóczy się w duszy smutek, jako te mgły po polach.

I zapomniana została pani Wikta i klejnoty. Dwie dusze ludzkie opowiadały sobie, co w nich tętni i żyje i cieszyły się, jak gdyby nagle odnalezionym wspólnym światem.

Zdawało się, że mężczyzna odtajał, jak te pola, co szatę śniegu zrzuciły, wytworny chłód zginął, rozwiała się ironia, w jego śmiechu zadźwięczał radosny dźwięk młodości, a ona patrzyła w niego, słuchała jego szybkich, porywających słów i myślała:

Co się z nim stało?

Słońce pocałowało go w same usta.

I zaśmiała się do tej swojej myśli.

— Z czego się śmiejesz, Beno?

Zmieszała się, a potem rzuciła wesoło:

— Pomyślałam, że słońce pocałowało cię w same usta.

— Zapewne. Człowiek czuje się czasem tak sieroco i bezdomnie, że wszystko w nim cofa się trwożnie i żyje w wewnętrznem skupieniu, aż oto nagle spotka bratnią duszę i jest tak, jak powiedziałaś Beno „słońce go pocałuje w same usta“ i odnajdzie dar słowa, śmiech młodości i nagłą ochotę do życia.

— Proszę pani, śniadanie na stole i panowie już dawno czekają — oznajmił stary Jan.

— Mój Janie. — Mieczysław zwrócił się do sługi z uśmiechem radosnym, który jeszcze nie zdołał zgasnąć. — Niech Jan każe sprzątnąć w pokoju mojej żony, ponieważ wyjechała dziś rano, rzeczy, które zostały, niech Grądzielska zapakuje do kufrów, bo wyśle się je, gdy pani nadeśle dokładny adres. Proszę cię, Beno.

Podał rękę bratowej i przeszli mimo starego sługi, w którego twarzy znać było pomieszanie, którego ukryć nie zdołał, nie tyle zdziwiły go słowa pana, ile ten słoneczny, młody uśmiech na tych ustach.

VIII.

Jakże cudną jesteś wiosno!

Oto bukowy las, przez który przenika słońce, młoda, świeża, zieleń liści i szare, lśniące pnie, a dołem trawa i drobne, małe, wonne fiołki. Zbiera je Bena, w obu dłoniach je niesie, wdychając ich woń z rozkoszą a równocześnie myśli, że tu, kwiatów szukać trzeba, wyrywać je, jak tajemnice życia rozbudzonej ziemi, a w Indjach kwiaty szukają człowieka, wszędzie są, wszędzie i proszą: zerwij... wpleć w warkocz czarny, lub bogom rzuć na ofiarę.

I myśli Bena (każde złudzenie jest przecież rozkoszą większą, niżeli rozkosz sama): jest ten lekki sprężysty krok poza nią, to sir Teobald jej snów i spazm szczęścia ściska jej serce.

Wie przecież, że to Tomek, ścina laską wierzchołki traw i nuci półgłosem, fałszywie:

„Kasia płakać przestała,
Kasia w rączki klaskała,
za rozbity dzban,
dostał mi się pan“.

— Tomku.
— Proszę?
— Tak cudnie ptaszki śpiewają...
— A ja... mniej cudnie?
— Właśnie, bo trochę fałszywie.
— Trudno, nie wszyscy mogą być artystami... i nie wszyscy są stworzeni do życia kontemplacyjnego, jak ty i Miet. Spójrz Beno... Miet, to przecież kawał człowieka, po ukończeniu wojny Bory wyglądały jak pustynia, rowy i rowy, krzyże, mogiły, zgliszcza, dwór cudem jakimś ocalał i ten młody bukowy las. I oto Miet sprawił, że wieś lśni nowemi chatami, a zboża rozkołysały się już ubiegłego roku falą. Nieboszczyków wykopali, przenieśli i tu zaraz za lasem zobaczysz szereg krzyży i krzyżyków, gdzie śpią sobie ci biedacy.
— Tak, twój brat.. to człowiek.
Przyznała kobieta i smutek ją przejął, że nie mogła dodać „i tyś nim jest!". Bo gdy tamten pracował nad odbudową wyczerpanej ojcowizny, ten dążył do jej zniszczenia, robiąc długi.
Robił je dla ciebie. Usprawiedliwiła go zaraz i przypomniały się jej jego róże, jego, co dnia inne kwiaty i to życie bez troski, życie z dnia na dzień, którym ją do siebie przykuł.
Wyciągnęła rękę i poszukała jego dłoni, przyciskając ją do ust.
— Cóż tam Benuś, wiosna rozmarza? Musimy wstąpić na gajówkę, do Lechonia, bo coś mi tu w lesie nieszczególnie wygląda. O, patrz Beno... mogiły.

Przejął ją dreszcz niepokoju, gdy spojrzała na ten las drobnych, sosnowych krzyży, szły po zboczu wzgórza, jak szereg żołnierzy.

— Straszne!

— I! — Machnął ręką Tomek. — To ci się tylko tak wydaje, śmierć zawsze kiedyś musi przyjść, a tu przyszła nagle, trochę bólu i już... za żelazną bramą. Ani się chłop spostrzegł, jak zwiał na tamten świat.

— Ach, mnie nie przeraża śmierć, to przecież tylko przejście z jednego bytu w drugi, jeno mi żal tych młodych, silnych ludzi, dlatego, że młodzi byli i silni, ból zostawili po sobie, a nie dojrzeli jeszcze do śmierci.

— Dla mnie, to najważniejsze jest to, czy tam wogóle coś jest, czy jeno koniec wszystkiego. Człowiek umiera, świat się dla niego kończy i już... czy też... Et, co tam o tem myśleć, co przyjdzie za jakie szeregi lat, ot, dniem dzisiejszym żyje.

Podniosła ku niemu poważne oczy:

— Zastanowiłeś się kiedy nad słowami Chrystusa: „umarli niech płaczą umarłych swoich"?

— Tam wogóle tyle jest niezrozumiałego, że nie łamałem sobie głowy, zacząłem raz czytać, gdzieś tam w gimnazjum jeszcze i znudziłem się. Naprzykład te słowa, które przytoczyłaś, bezsens i już. Umarli, umarłych płakać nie mogą, tak samo, jak spróchniała deska szumieć nie może.

— Ja zaś odniosłam wrażenie, że ci, którzy duchem martwi byli, tracą prawo duchowego istnienia, bo ich ziemia pochłonęła i ci tylko

mogą płakać nad trupami sobie pokrewnych ludzi, bo niema dla nich spotkania, ani wieczności, bo są czemś, co mija. Ci zaś, którzy pracują nad rozwojem ducha, spotkają się zawsze, śmierć dzieli ich, ale nie rozdziela. A któż rozpacz w sercu nosi, iż ktoś bliski wyjechał w podróż, w którą i my kiedyś pojedziemy?

— Może... Ale, babska filozofja! Żeby w tej podróży nie było takich przyjemnych środków lokomocji, jak: karawan i trumna, takich sympatycznych atrakcji, jak uczta robaków na ciele podróżnika i wreszcie rozlecenie się zupełne, to możnaby mówić, z którym tam filozofem, czy poetą: „płaczcie, gdy się człowiek rodzi, cieszcie się, gdy umiera“. Ale wtedy najprostszą rzeczą byłoby noworodkowi kark skręcić, by mu oszczędzić życia. No, nie?

— A nie. Duch ludzki potrzebuje rozwoju, nie zdobywa go w zupełności drogą urodzenia i śmierci jedynie.

— Zresztą, co mi tam. Nie na to życie, żeby sobie śmiercią głowę zaprzątać. Śmierć, to wróg życia.

— A może... powinien to być właśnie kierownik życia. Gdyby człowiek częściej myślał o śmierci, niejednego złegoby nie popełnił i przed niejednem się cofnął.

— Bajdy. Jadłoby zbrzydło i usta kobiece.

— Że też my nigdy nie mamy podobnych myśli — szepnęła kobieta.

— Bo widzisz, babskie myśli są zawsze takie typowo rozlazłe, takie skłonne do uwierzenia

każdej bajdzie, byle w niej było coś niejasnego i tajemniczego. Mężczyzna zaś żyje dniem dzisiejszym, nie płacze, nie denerwuje się, żyje!

Ale Bena nie słuchała już, zajęta inną myślą.

— Tomku... — zaczęła i urwała.

Spojrzał ku niej i uśmiechnął się, miała takie purpurowe, jak kwiat, rozchylone usta.

— A co?

— Chciałam cię o coś prosić.

— Bardzo wielkiego? Potrzeba ci może mamony? Co? Od niepamiętnych czasów nie wydałaś na siebie ani marki.

— Mam wszystko.

— No! no!

— Moja prośba jest większa, widzisz, mój ojciec bardzo zawsze tęsknił i przyszło mi kiedyś na myśl, jaką radością byłoby dla niego, gdyby mógł wrócić tutaj. On nigdy nie mógł się przyzwyczaić do Indji i jeżeli żyje jeszcze... byłabym ci bardzo, bardzo wdzięczna.

— Ba! O starego mniejsza, ale...

— Co?

— Gdyby się tak zwalił z całą famułą?

— Sam jest. Matka umarła, jeszcze gdy byłam w Anglji, pisał o tem jeden ze znajomych sir Teobaldowi, a brat się w Indjach ożenił i nie ruszyłby się stamtąd.

— To sobie po niego pisz, będzie ci może weselej.

— Dobry jest... bardzo.

Przytuliła się do niego miękko, a on ogarnął

ją ramieniem i całując jej rozchylone usta, mruknął:

— No... nie zawsze.

Poszedł przodem, bo z za drzew wyłonił się już drewniany domek Lechonia, z okien czerwieniły się pelargonje i jabłeczniki. Kaśka myła podłogę w sieni, z pod podgiętej wysoko spódnicy kusiły łydki silne i białe. Rzucił ukradkowe spojrzenie za siebie. Bena przystanęła ze starą Lechońką i była odwrócona plecami, więc pochylił się żywo i dziewczynę w łydkę uszczypnął.

Porwała się, o bierwiona chaty oparła i spojrzała w niego roześmianemi oczyma:

— Ty... czemuś nie przyszła?

— A bo, żebyście potęsknili trochę, a możem ładniejszego znaszła. To wasza pani?

— Moja.

— Strasznie chuderlawa.

Zaśmiała się ucieszona i żywym ruchem spódnicę poprawiła.

— Do mnieście przyszli?

— Nie, do ojca.

— Do gaju poszedł.

— Zaczekam.

— Powiedzcie mnie, to mu powtórzę.

Schyliła się do ręki wchodzącej Beny, a jej wyzywające, śmiałe oczy, uderzyły w nią spojrzeniem:

— Pana często widzimy, ale panią to pierwszy raz... Niechże matka do izby prosi, mleka zaraz przyniosę i chleba.

Spojrzała przez ramię na Tomka, a on odpowiedział jej spojrzeniem.

Przeszli przez izbę względnie czystą, gdzie prysnęła im z pod nóg cała rodzina białych królików do drugiej z wysoko zasłanemi łóżkami, z wielką ilością jaskrawych obrazów świętych. Lechońka, mała, zawiędła kobieta, o zatroskanym wyrazie twarzy, posadziła panią za białą serwetą nakrytym stołem. Tomek po izbie się zakręcił, przez okno wyjrzał, o Lechonia zapytał i wyszedł.

Lechońka mówiła i mówiła... jak puszczone w ruch młyńskie koło.

Wszystko byłoby dobrze, wszystko, ale Bóg pokarał, dziewczyna robotna, silna, ale ladaco, jak lato przyjdzie, to rzadko którą noc w chałupie śpi, po borze się gdzieś tłucze, po karczmach tańcuje. Ot i zeszłego roku dzieciska miała, ojciec ich wtedy mało nie zabił... Pan Bóg miłosierny wziął. A teraz chce ją wdowiec Mateusz, ten co na gropie ule ma, ale gdzie zaś, znowu do niej jakieś licho przystąpiło i lata. Latawica taka, na miesiączku, na pełni się urodziła, a takiej to i nie utrzymasz w chałupie.

Kaśka przyniosła mleko w garnuszkach, chleb i masło i postawiła przed Beną:

— Waszemu panu to przed domem dam, bo się z królami bawi i z psem. Ucieszznego macie pana.

Zaśmiała się, jak do jakichś wspomnień i z izby uciekła.

— Latawica — mruknęła za nią matka.

— Tego się jeno boję, że ojciec, jako że bardzo hambitny jest, nie strzyma i do którego z tych jej gachów palnie.

Bena usiłowała odwrócić rozmowę, pytała o gospodarstwo, o pszczoły, bo widziała ule w pobliżu domu, ale stara wciąż spoglądała na rozwarte drzwi, niespokojnie i uparcie wracała do porzuconego tematu.

Wreszcie i oczy Beny poszły za wzrokiem Lechońki i jakiś potępieńczy ból szarpnął nią całą. Przez okno sąsiedniej izby świeciło słońce i rzucało dwa wydłużone, karykaturalne cienie... na białe deski sosnowej podłogi, te dwa cienie... tak były blisko. Bena z wysiłkiem odwróciła oczy.

— Kury się wam dobrze niosą?

— Od kiedy ciepło, bez zime, na tych mrozach, to ani się było jajka doczekać, ale teraz się poprawiło dzięki Bogu. Maluśki jeszcze w zimie żył, byłby mu ta człowiek rad poddać nie jedno, a tu ani jaj, ani mlika, bo krowa się cieliła. Przez sakramentu to było i jeno na pośmiewisko dla ludzi, ale babka, toć babka zawdy i takie to było przylipne i miłe.

— Dawno umarło?

Oczy Beny wróciły do gry cieni na sosnowej podłodze i oderwać się od nich nie mogły. Ponad nią, jak monotonny szept wody, snuła się jednostajna, nużąca gawęda Lechońki, a w niej coś kurczyło się, zamierało, gasło.

Aż zostało jakieś popielisko wystygłe.

I oczy jej utraciły wyraz dzikiego bólu, patrzyły

z tępym obojętnym wyrazem, jak cienie na sosnowej podłodze lgnęły do siebie w uścisku.

Aż nagle wyrwało ją z odrętwienia to, że potok słów Lechońki zamilknął, stara siedziała chmurna i patrzyła w nią błagalnemi, przerażonemi oczyma. I Bena zdobyła się na uśmiech który zajaśniał na jej bladej, martwej twarzyczce, jak światło na grobie w zaduszną noc.

Wstała.

A do izby właśnie wpadł Tomek, zadowolony był, wesoły, do starej się roześmiał, mleko wypił, na żonę spojrzał zmętniałemi jeszcze oczyma:

— No idziemy już?

— Idziemy — odpowiedziała spokojnie, podając przyjaźnie rękę starej kobiecie. Kaśka stała w progu szczerząc zęby, słońce igrało w jej płowych włosach i falowały silne piersi pod zgrzebną koszulą.

— Ostańcie z Bogiem — rzucił Tomek. — A ty Kaśka powtórz ojcu, com mówił.

— Juści powtórzę. Łysnęły ku niemu oczy niebieskie pustotą i by nie rozchichotać się głośno, schyliła się szybko nad smagłą ręką pani. Zimne to jak trup — pomyślała — że se tyż taką wziął.

IX.

Dwór w Borach ożył z wiosną, częściej ktoś z sąsiadów zaglądał, przyjechał geometra pomiary parcelacyjne robić. Mieczysław całe dnie spędzał w polu, wracał wieczorem zmęczony i wyczerpany, ale zadowolony.

Wieczory były już ciepłe, wonne, pachły kwitnące jaśminy i świergotały, uwijając się dokoła budowy gniazd, jaskółki.

Dobrze było wpół leżeć na wygodnym trzcinowym fotelu i poddawać się czarowi chwili, słuchając jak bzykają muszki i komary i jak żaby zaczynają swoją gawędę.

Bena przynosiła mu wtedy herbatę, siadała na schodach werandy i patrzyła gdzieś w dal.

Widział jej ciemną, pochyloną głowę i cudną linję karku. Mówił czasem o poezji, przypominali sobie odbyte podróże, częściej milczeli. Raz rzucił pytanie:

— Gdzie właściwie wałęsa się Tomek?

Nie odwróciła głowy, udała, że nie słyszy pytania, było jej to dziwnie obojętne.

Wróciwszy wtedy z gajówki, taka była spokojna i zrównoważona, jak co dnia, tylko wieczorem poszła do pokoju Wikty i tam spędziła noc. Była to w jej życiu druga noc niespana... słoneczne Dżejpur jej życia, po raz drugi zostało poza nią...

Na drugi dzień Tomek miał w oczach zdziwienie i trochę zakłopotania, „nie był z niej mądry", była uprzejma, łagodna, dobra jak zawsze, ale gdy przygarnął ją do siebie, pytając z odrobiną niepokoju:

— O co Benuś zły?

Wymknęła mu się z ramion jak cień i uśmiechnęła się, nie podnosząc oczu:

— O nic.

Coś ją ukąsiło — pomyślał i czekał, aż jej to przejdzie, bo nie zwykł był ubiegać się o łaski, które mu cofnięto. Zresztą, jeżeli nawet widziała... te kilka pocałunków nie obciążało mu zbytnio sumienia.

Ale Bena dalej usuwała się od mężowskiej pieszczoty i wieczorem szła do pokoju Wikty.

Nie, to nie... — pomyślał Tomek, ale mu to coś niewypowiedzianego a istniejącego ciężyło i wieczorami regularnie jechał gdzieś w sąsiedztwo, szedł na karty do proboszcza, a czasem...

Kaśka garnęła się do niego, jako ten czernicowy pąt, co gdy się uczepi, to się od niego uwolnić trudno, młody był, a słabą miał wolę, więc szedł za popędem zmysłów.

Bena napisała do ojca, powiedziała wpierw o tem teściowej, a stara pani Brzeszczycowa od

czasu choroby dziwnie dobra dla synowej, pogładziła ją po włosach i powiedziała:

— Chleba w Borach dosyć, niech i on, biedaczysko, odpocznie.

Na jesień może wróci — myślała Bena. I widziała tak wyraźnie szczupłą, pochyloną sylwetkę ojca, jego uważne, głębokie spojrzenie i smutne usta i nagle wstała w niej pewność, że on nie przyjedzie.

Gdyby nawet konał z tęsknoty za krajem, nie przyjedzie, nie dlatego, iż niegdyś rzekł: nie mam córki, jeno, że była w tym człowieku duma wielka, a chleb w Borach byłby, w każdym razie, łaskawym chlebem, bo ona tu nic nie wniosła. Uśmiechnęła się gorzko... prócz długów, które dla niej narobił Tomek.

Podniosła oczy i spotkała uważne spojrzenie Mieczysława:

— O czem myślałaś, Beno?

— O Tomku i o... sobie.

— Zdaje się, że i między was wkradł się jakiś rozdźwięk... zauważyłem to już od jakiegoś czasu, bo... smutne masz oczy Beno.

— Zostawmy to...

— Nie, przeciwnie, mówmy o tem.

— Dlaczego?

— Pragnąłbym, byś była szczęśliwa.

— Jestem nią gdybyś mógł spojrzeć w moją duszę, ujrzałbyś, jak tam cicho jest i pogodnie, święta cisza. Coś usnęło, coś zamarło, ale w rezultacie pozostał wielki spokój, którego wpierw nie było.pokó jA sd ucha... toć szczęście!

— Największe.

— Prawda — zaczęła po chwili, schylając twarz na złożone dłonie — że człowiek, który kocha i odczuwa naturę, nigdy nie może czuć się zupełnie nieszczęśliwym? Taka słodka cisza płynie od bezkresu nieba, od lotnego stada chmur, szumu rzeki, od tych młodych woni, co się w przestrzeni kołyszą, że gdyby nawet czasem w sercu wrzała burza, to ucichnie, jak gdyby ją zaklał głos Boga.

Tak. I najlepsze, najpiękniejsze chwile w życiu są te, które człowiek przeżywa jednocząc się niejako z naturą, bo odnajduje z jej pomocą swoje nieśmiertelne ja. W naturze, wszędzie, wita go śmierć i życie, pierwsza jako konieczność nieodzowna, pozbawiona jednak swojej grozy, pełna tajemniczych uśmiechów, obietnic, drugie: takie potężne, silne, zwycięskie. Ot tu, liść spadł, jesienny deszcz wbił go w ziemię, sok ziemia wessała i oto znów młoda zieleń liśćmi pulsuje, życie zwycięża śmierć, a śmierć życie. Jedno wiecznie i zawsze wykwita z drugiego. A wszystko jest w naturze takie celowe, nic się nie dzieje bez zakreślonych z góry praw, nic bez przewodniej, kierowniczej myśli, wszystko ma cel i zadanie do spełnienia. Czy zauważyłaś Beno, jakiem dobrodziejstwem dla człowieka są naprzykład te ciche wieczory, zmrok? Po pełni słońca, wrzącej we wszechświecie pracy — wypoczynek. Szary mrok otula ziemię, zatraca się bogactwo barw, krajobraz przypomina rysunki kredkowe, snuje się światem odpoczynek, przed-

senna cisza i dusza człowieka otwiera się wtedy, jak kwiat i chłonie spokój. I nigdy myśl ludzka nie zdaje sobie tak jasno sprawy z potęgi i obecności Boga, jak w taki wieczór wiosenny lub letni, ciszą błogosławiony. I nigdy człowiek nie czuje się tak bardzo człowiekiem, wyższym tworem, który myślą zdobywa życie, jak wtedy. I nigdy nie jest się tak szczerym wobec siebie i drugich, jak wśród wieczornego mroku. I dobrze jest, gdy się ma wtedy blisko, bratnią, podobnie czującą duszę.

— Tak... są te wieczory ciche, jak gdyby źródłem siły i spokoju. — Kobieta zapatrzyła się w dal, za ciemną ścianą świerkowej alei wschodził księżyc, niepewny, błękitny blask snuł się wśród drzew. — Dla mnie są te wieczory wielkiem dobrem, tak wielkiem, iż nie oddałabym ich za żadne skarby świata. Czasem tak sieroco czuję się tu i bezdomnie, tak obco... a gdy wieczorem usiądę tu, przy tobie, zdaje mi się wtedy, że znalazłam dom. Kocham te świerki ciemne, żałobne i ten piasek ścieżyn, błyszczący jak srebro w blasku księżyca i te gniazda jaskółcze, rozbrzmiewające wpółsennym szczebiotem. I biorę z tej godziny wieczornej siłę na cały, nowy dzień życia.

Ręka mężczyzny opadła na jej dłoni, a cichy, tkliwy głos pytał:

— Czy to życie... takie ciężkie, Beno?

Nie odpowiedziała, lekko wysunęła rękę z jego dłoni, ale światło księżyca padło na jej twarz

pochyloną i Mieczysław ujrzał, że płynęły po niej łzy.

Od rzeki zerwało się rehotanie żab, żałosne, nastrojowe.

A w nim nagle wstało pragnienie, by ją przytulić i łzy... te ciężkie, przejrzyste łzy spić ustami...

Podniósł się i rękę do niej wyciągnął.

— Dobranoc Beno... chłodno się robi.

— Dobranoc.

Odpowiedziała, nie odwracając głowy.

— Chodź do pokoju, wilgoć ciągnie od rzeki... proszę cię, Beno.

Wstała posłusznie i poszła za nim.

X.

I znowu płynęło życie.

Maj się słał wokół, rozkwitły róże w ogrodzie, i słały swoją cudną, upojną woń.

Tam, gdzieś, na świecie, drżały jeszcze echa powojenne, rozprężenie gospodarcze, dzielnicowe niechęci utrudniały odbudowę kraju. W Borach było jak na zaświaciu, pan Brzeszczyc stary czytał gazety wieczorami i „żołądkował się“, jak zły humor ojca określał Tomek, gnębił go projekt reformy rolnej i groza strajków. Mieczysław nie brał tego tak tragicznie, uważając, że Polsce nie tyle trzeba wielkich obywateli, co dobrych i pracowitych. Tomek czasu na politykę nie miał, tak mu zajmowało czas życie towarzyskie, karty, miasteczko i... Kaśka. Uczepiła się go jak ostryga skały! — Myślał czasem z gniewem — ale jak skała, nie miał siły, strząsnąć tej swojej ostrygi.

Przyszedł wreszcie list z Indji... Drżały palce tBeny, gdy rozrywała szarą, grubą kopertę, pisał o ojciec, ojciec, któremu niegdyś wyrządziła niezasłużony ból, a jego dumie krzywdę. Niewyraźne były litery, znać kreśliła je ręka spra-

cowana i ciężka do pióra. Cieszył się, że córka, w jego dawnej, zawsze gorąco kochanej ojczyźnie, znalazła miłość, dach i rodzinę, ale sam wracać nie miał zamiaru. Stary już jest, do grobu mu blisko, a po śmierci każdy odnajdzie wolność i ojczyznę. Trudnoby mu było przyzwyczaić się do nowego otoczenia, miałby zawsze wrażenie, że śmieszny się wydaje tym obcym ludziom. Ale jedną prośbę ma do córki, niech mu przyśle trochę polskiej ziemi i garść ususzonych fiołków, tak je lubił niegdyś i pragnie wziąć je ze sobą do trumny.

Błogosławił jej wkońcu i słowa przebaczenia kreślił, nie dlatego, że dobrze zamąż wyszła, ale że duszy nie zatraciła i języka ojców nie zapomniała w tej Anglji przeklętej.

Pokazała ten list Mieczysławowi, tak przywykła w ostatnich czasach dzielić się z nim każdem uczuciem, każdem wrażeniem i rozradowało ją, gdy zobaczyła, jak te męskie usta zadrżały wzruszeniem, a oczy zmierzchły.

— Może wróciłby, gdybym ja do niego napisał lub... Tomek?

— Nie wróci Mietku..

Tego dnia, wieczorem, na werandzie został i Tomek, księżyc był w pełni i jasno było, jak w dzień. Tomek papierosa za papierosem ćmił i „zatruwał powietrze“, jak zauważyła Bena.

Rozmowa utykała co chwila, najczęściej milczeli wszyscy i każde szło śladem swoich myśli. Bena w białej, luźnej sukni, znaczyła się w świe-

tle księżyca jasną sylwetką, a jej cudowne oczy pełne były świateł.

— I tak się nudzicie co wieczór? — ziewnął Tomek.

— Nudź się z nami, a przekonasz się, jak ci w duszę wrosną te wieczory, jak coś najbardziej swojego, spróbuj. — Uśmiechnął się Mieczysław.

— Niema głupich, wolę wista i starkę u proboszcza. Pyszną ma starkę, aż oczy bieleją. Bena, słuchaj, pamiętasz, w Warszawie, tańczyłaś mi raz jakiś hinduski taniec. Zatańcz w nagrodę, że siedzę w domu.. No... mojaś ty, moja.

Przygarnął ją ramieniem, gorące jego usta dotknęły jej szyi, nie broniła się, wiedziała, że Mieczysław patrzy, tylko z pod rzęs wybiegło ku Tomkowi spojrzenie, które nawet jego zdziwiło, było wrogie. I wywołało skutek wręcz przeciwny od zamierzonego, rozpaliło mu krew w żyłach pożądaniem, przez ten odczuty opór właśnie.

— Dobrze... będę tańczyć — rzuciła, byle tylko wysunąć się z tych ramion, które tuliły ją coraz goręcej.

Mieczysław cofnął się w cień winogradu, tak, że widziała tylko żar tlącego papierosa i rozświecone słabo usta. Zdawało się jej, że nie zdołałaby tańczyć, widząc jego oczy.

A księżyc świecił...

Jak tam, daleko, w podobne jasne noce.

Tańczyła

I przypomniały się jej gruzy świątyni, wśród których tańczyła sir Teobaldowi. W blasku księżyca, jak szereg demonicznych zjaw, marzyły się

straszne, w kamień zakute wizje śmierci, chwile konania i chwile bachicznych rozkoszy, poświęcone Sziwie i Kali krwiożerczej i okrutnej. Drżało wśród gruzów światło oliwnych lamp, rozpalonych przez pobożnych i pachły... o jak cudownie, jak upojnie! cudowne kwiaty, storczyki dziwaczne, barwne, wonne! Zdawało się jej, że znów pod stopami czuje chłód ich płatków, a sir Teobald rzuca tym swoim głosem, co prośbę łączył z rozkazem:

— Tańcz!

I porywa ją szał tańca i szał życia... jak wtedy. Od woli silniejszy.

Ktoś gra...

A może to tylko krew w jej żyłach?

Ktoś śpiewa?

A może to tylko wicher w gałęziach drzew?

Zdaje jej się, że na stopniach schodów przysiadły biało ubrane postaci, a z pod ich palców melodja płynie.

Zna ją... zna...

O Dżejpur... Dżejpur biało-różowe...

Tą pieśnią szumiała przed laty dżungla, tą pieśnią pachły kwiaty, ta pieśń była w pocałunkach sir Teobalda.

O życie! życie! Cudne, potężne, wiecznie młode [życie!
O życie, które mijasz! Życie, które nadchodzisz!
W łańcuch jeden wpleciona istnień tajemnico...
Życie wiecznie tworzące i obumierające.
Życie potężne!

Cała tęsknota, olbrzymiejąca nagle, życia tęsknota, przepaja taniec Benigny. Zapomniała gdzie jest i dla kogo tańczy.

Dla niej kwiaty dżungli pachną, biało-różowe Dżejpur, z wiecznie powtarzającemi się ozdobami w kamień zaklętych róż, wstaje przed nią jak senna zjawa, a sir Teobald jej snów... sir Teobald o przejrzystych oczach anglika, silnych ramionach Tomka i łagodnym, w głąb duszy idącym głosie Mieczysława jest z nią.

O życie! Cudne życie!

Nie... już nie może dalej... już nie.

W tęczowy krąg zlewa się cały świat, a w tem kolisku jeden jasny punkt się żarzy i rozświeca czyjeś usta łagodne i słodkie.

Czyjeś usta zamykające dla niej całą tęsknotę życia... usta kochane!

— Benuś... naprawdę cudnie!

Czyjeś ramiona silne, odczucie spoczynku i ciszy i czyjś głos...

Nie tamten, nie tamten kochany...

Tomka głos.

Śmieje się w niej coś i płacze...

O życie!... Smutne, puste życie!

*
* *

Świetlany łuk spadającej skry... zagasł wśród traw i zgasły w mroku nocy usta miłowane.

— Płaczesz Beno?

— O Dżejpur... Dżejpur umiłowane.

*

Ręka Mieczysława bezwiednie prawie zerwała garść młodych liści... zmiął je i rzucił.

Przyszło na niego coś, jak nagłe widzenie, gdy ona tańczyła i błyskawicą rozdarło mu duszę.

Zrozumiał.

Kochał ją, kochał jej duszę, kochał w niej kobietę.

Miłował piękno jej linji, ciszę jej poruszeń, jej oczy głębokie, które rozświetlał płomień, gdy mówił Jej myśl każdą kochał.

Miłowaniem był ten spokój radosny, który w owe wiosenne wieczory w duszę mu spływał.

Miłowaniem było to pragnienie teraz, by na krótką, na jedną chwilę do piersi ją przygarnąć, jak to teraz czyni Tomek i swoją nazwać... swoją niepodzielnie. I osuszyć łzy... pocałunkami.

Żona brata.

Kobieta jedyna!

I wiedział, że gdyby wyciągnął ramiona...

Powiedziały mu to jej oczy, powiedział jej taniec, mówią te łzy...

Żona brata...

Cofnął się w głąb jadalni, wszedł do bibljoteki, ciemno tu było, cicho... wąskim pasem księżyc się słał.

Nigdy...

A przecież to jego duszy połowa!

Ukrył twarz w dłoniach, a ponad jego głową szły wieki... godzin, które się wloką w nieskoń-

czoność, godzin, które śmierć niosą i włosy potrafią zbielić u skroni.

Nigdy...

Nie! Człowiek nie powinien być niewolnikiem swoich pragnień, sługą swoich żądz! Do niego należy życia ster! Człowiek, to pan swojej woli.

*
* *

Odejdź ty... pokuso księżycowej nowy.
Odejdź ty... słodka, droga, miłowana.
Jedyna kobieto życia.
Odejdź

*
* *

Ale pod zamkniętemi powiekami pląsał mu jej biały, wiewny zjaw i patrzyły w niego oczy, owe cudowne, przepiękne, w które, zdawało mu się, iż mógłby patrzeć bez znużenia przez całe życie.

— Beno! Beno!

A oczy tęskniły, miłowały, błagały...

Od rzeki szło rehotanie żab, monotonne, jak różaniec i zdawało mu się, że słyszy w niem czyjś głos litościwy i mądry.

Wszystko to już było... wszystko.

Uspokój się, a spokój znajdziesz.

Pomyśl, że wokół najpiękniejszych oczu czas zmarszczki rysuje.

A nigdy dwoje ludzi nie jednoczy się tak, by sobie za świat starczyli na życie.

Wszędzie melodje i zgrzyty, światła i cienie. Wszystko mija... Oprócz tego, co zdobędziemy duchem na własność, wszystko proch!

Najpiękniejsza kobieta będzie kiedyś tylko szkieletem, najcudowniejsze oczy zaświecą w próchniejącej czaszce, oczodołami.

Zawsze i wszędzie, wcześniej czy później przychodzi rozstanie, ogień wygasa i szary popiół się tli.

Zdobądź się na siłę i bądź panem twojej życiowej łodzi.

Zdobądź się na spokój, a burza, jak gdyby zaklęta głosem Boga... uciszy się wokół ciebie w słoneczny, powszedni dzień.

* * *

O Beno! Beno!

* * *

Człowiekiem bądź, nie samcem, co za pożogą krwi idzie.

Człowiekiem, któremu myśl i wolę dał z siebie Bóg!

* * *

Snuł się różaniec myśli za różańcem rehoczących żab i wracał spokój.

XI.

W miesiąc potem, gdy lato było w całej pełni i pierwsze zboża kładły już na łanach ręce żniwiarzy, Mieczysław Brzeszczyc dostał list z Paryża. Obce mu było pismo, zdziwiła wymięta i brudna koperta i jakoś nie mógł się zdobyć na otworzenie go.

Przeczuwał, że to coś o Wikcie i usiłował odsunąć spodziewaną przykrość, przez chwilę myślał nawet, że najlepiej byłoby list nierozpieczętowany w piec wrzucić, ale wkońcu przeczytał go.

Jakiś malarz donosił mu, że Wiktę spotkał w jednej z ostatniorzędnych knajp Paryża. Człowiek, z którym uciekła z Borów, okradł ją zaraz po przyjeździe do Francji i z zawrotną szybkością staczała się w dół. Zainteresowała go jej, teraz nawet, niepospolita uroda i odnalazł ją po jakimś czasie w szpitalu. Była ciężko chora i prosiła, by napisał do niego. Dziecko przyszło na świat przedwcześnie i nieżywe, a ona... ginie. W końcu tego, rzeczowo napisanego listu, z któ-

rego może właśnie dlatego bił odcień prawdy, autor podawał adres szpitala i swój własny.

Pierwszym odruchem duszy Mieczysława była myśl: Cóż mnie to wszystko obchodzi? Czemże dla mnie jest ta kobieta, która mi dała jeno zło i ból, a teraz hańbi moje dobre imię...

A jednak zdał gospodarstwo Tomkowi i następnego dnia o świcie wyjechał do Warszawy, a stamtąd, po załatwieniu trudności paszportowych, do Paryża.

*
* *

Szedł w stronę szpitala, wśród zieleni bulwarów, miał jeszcze w całym organizmie turkot pociągu i nie mógł jasno i sprężyście myśleć.

Po drodze kupił wiązankę białych róż...

Cóż jej powie?

Zostawi pieniądze i odejdzie... zostawi kwiaty...

Zabrać ją do Borów?

Nie! na ten akt litości nie zdobyłby się... I cóżby to wreszcie było za życie?

Więc co?

A może najlepiej najpierw zobaczyć się z tym artystą?

Pewno...

Wziął dorożkę i pojechał do restauracji, którą wymienił malarz, jako miejsce, gdzie zawsze można go było zastać w południe, przy stoliku, pod drugiem oknem.

Była to malutka jadłodajnia w studenckiej dzielnicy, przy oznaczonym stoliku nie było

jeszcze nikogo. Mieczysław zauważył w przechodzie, że serwety były brudne i poplamione, a publiczność składała się z młodych ludzi, o dobrym apetycie, a zapewne niewielkim zasobie monety.

Przytłaczała ciężka woń potraw i papierosów.

Nareszcie do stolika, przy którym siedział Brzeszczyc, podszedł człowiek około lat trzydziestu, o zwichrzonej, złotej czuprynie i bardzo jasnych oczach.

Bruszczyc się podniósł.

— Pan Żmuda? Prawda?

Jasne oczy rozbłysły radością na dźwięk polskiej mowy.

— Pan kto?

Bruszczyc jestem.

— Ach...

Artysta głowę pochylił:

— Umarła dzisiaj właśnie.. po południu przewiozą ją do cmentarnej kaplicy. W ostatnich czasach pozowała nam po pracowniach a artyści kochają piękno, więc gdy umarła, każdy coś dał, by to urocze ciało nie poszło pod nóż tych partaczy Bożych arcydzieł. Dziwnie się złożyło... że pan dziś właśnie przyjechał.

Był pan w szpitalu?

— Nie.. najpierw... poszukałem pana.

— No i dobrze się złożyło, pójdziemy tam po południu.

— Dziękuję panu bardzo za to zajęcie się jej pogrzebem i naturalnie koszta zwrócę.

— O głupstwo.

A więc umarła...

Nic... tylko to dziwne dławienie w gardle, to szarpiące nerwy uczucie: nic jej już nie trzeba ani od ciebie ani od nikogo.

I podświadome: tak najlepiej.

Chciał zapytać o coś jeszcze . jak i na co właściwie umarła, ale pomyślał, że lepiej nie pytać. Demon życia ją zabrał, zabiły zmysły, ot i wszystko.. szczegółów się lękał

Artysta w kieszeni czegoś szukał, szkicownik wydobył i podał mu go bez słowa, otwarty.

Ujrzał jej twarz w rozwichrzonych włosach, z niedbale zarzuconą chustką, o oczach wyzywających i cierpiących, o ustach kapryśnych. Ołówek artysty podchwycił bunt w tych oczach, uwydatnił wieczną, nienasyconą tęsknotę tych ust, był w nich głód życia!

Na stronie, obok, ta sama głowa odrzucona na poduszki, z śmiertelnym lękiem w rozszerzonych źrenicach, z bezmiarem znużenia w kącikach rozwartych ust.

Mieczysław patrzał długo, a potem szkicownik oddał w milczeniu. Na tych dwóch kartach był jej dramat cały.

Biedna dogaresse!

— Zupę czy rosół? — pytała jakaś dziewczyna uśmiechając się do Żmudy, czerwonemi, młodemi ustami.

— Zupę, a pan?

Jedli, rozmawiając o życiu studenckiem Paryża, o stosunkach w kraju, o wszystkiem, tylko nie

o tej, która odeszła. Wreszcie Mieczysław na zegarek spojrzał i róże wziął.

— Jedziemy?

— Tak. Wie pan, chciałbym ją narysować raz jeszcze Na podstawie tych szkiców pragnę wymalować tryptyk... Rozumie pan? Te trzy głowy tylko... Prawda, że to mówi samo za siebie? Pan nie ma nic przeciwko temu?

— Nic...

Wspaniały miała koloryt...

Auto ruszyło, w drodze Mieczysław omówił sprawę pogrzebu i zwrócił Żmudzie wydane pieniądze.

* * *

Wielka hala i trumna przy trumnie.

Twarze woskowe, martwe, obojętne i słaby, drżący błysk świec. Przykra, słodka, trupia woń.

Żmuda patrzył w każdą twarz, z ciekawością człowieka usiłującego rozwiązać zagadkę. Leżeli tu sami biedacy, kobiety i tu jeszcze zachowały wdzięk ich blade twarze mieściły w sobie wielką, nieodgadnioną ciszę śmierci, która najpospolitszym rysom daje dostojność i powagę. Mężczyźni, w czarnych, strasznych surdutach, w białych bawełnianych rękawiczkach na zgrubiałych rękach, z najeżonemi wąsami, odpychali wzrok i przejmowali lękiem, wszystkie grube instynkta szerokich mas znaczyły się w tych twarzach.

Dla Mieczysława męką było to poszukiwanie, zdawało mu się chwilami, że to jakiś straszny

sen jedynie, ta wędrówka wśród trumien i trupów.

Nareszcie dojrzał Wiktę, w czarnej, prostej trumnie szpitalnej, leżała w białej, długiej koszuli, z dużemi, białemi pantoflami na bosych stopach. Jej złoto-rude włosy, krótko obcięte w szpitalu, otaczały jej, jak gdyby w kamieniu wykutą, maskę twarzy, z ustami rozchylonemi w cudnym uśmiechu zdziwienia.

— Jakże piękna! — Żmuda drżącą ręką wyciągnął szkicownik, przysiadł na prostych noszach i rysował.

A Mieczysław patrzał na jej marmurowo białe stopki, tkwiące w tych wielkich, papierowych pantoflach i przypomniał mu się odurzający zapach hyperu i kult, jaki zawsze niosła pięknu swojego ciała... jakże ona musiała cierpieć w owej nędzy ostatnich miesięcy, gdy zwolna, a nieodparcie szła na dno.

A co z niej teraz?

Czy jeno ten, uroczy jeszcze a już zagładzie przeznaczony kształt?

Czy te ostatnie miesiące zbudziły w niej duszę?

Duch w człowieku może spać, wegetować latami całemi a zbudzić się i dojrzeć we mgnieniu.

Czy przeszła przez to obudzenie twórcze?

Czy zdobyła życiem chociaż jeden stopień w rozwoju ducha?

Czy może znowu przyjdzie kiedyś równie piękna i równie bezmyślna?

A może jest w tem i część mojej winy... — myślał dalej, nie mogąc oderwać spojrzenia od jej nieruchomej twarzy, — może zbyt szorstko odsuwałem ją od siebie, może zamało starałem się ją poznać i zrozumieć?

I przyszła mu na myśl, jak gdyby w odpowiedzi, ich rozmowa ostatnia.

Nie, wina nie była po jego stronie. Zawiniło tu wychowanie, wypaczyła charakter erotyczna literatura, wysuwająca zmysły na pierwszy plan, budząca i idealizująca w kobiecie samicę, a zabijająca matkę, ośmieszająca żonę.

Nie rozwijano w niej woli, nie uczono nigdy panowania nad sobą, każdy kaprys nią rządził, niewolnicą była własnych zmysłów, własnych zachceń.

Mogła być szczęściem życia, a była jego przekleństwem.

Mogła być życia radością, a stała się jeno przemijającym życia szałem.

I oto leżała przed nim owa cudna pani, która białemi dłońmi na zmysłach ludzkich grała... i sztywna, w grubej szpitalnej koszuli, z tym wyrazem zdziwienia dziecinnego, wokół martwych ust.

Biedna...

I nagle uświadomił sobie całą jej nędzę i ogarnął go smutek bezbrzeżny.

Biedna...

Łagodnym ruchem położył na jej rękach białe róże... przyniósł jej przebaczenie.

Żmuda rysował, zaczynał już po raz trzeci, nie mógł pochwycić wyrazu, wymykała mu się z pod

ołówka ta umarła i zagadkowy uśmiech jej ust, wreszcie zniechęcony zamknął szkicownik.

— Wie pan, człowiek umarły jest najspokojniejszym modelem, a jednak jest w nim coś, czego pochwycić i oddać nie można. Widzę inaczej, rysuję inaczej. Tu jest wielkie jakieś zdziwienie w tej twarzy, a u mnie staje się grymasem bólu, ten przymarły uśmiech pod ołówkiem jest tylko skrzywieniem cierpienia. Pójdziemy?

Mieczysław odszedł od trumny żony, nie spojrzawszy minął inne zwłoki i wyszedł na słońce. Zatrzymał się i spojrzał w niebo błękitne, bezchmurne, radosne.

I coś w nim ucieszyło się życiem, tem, że jego oczy widzą jeszcze słońce, a pierś wdycha woń kwiatów, cóż, że cmentarnych?! I że tamto, tam, zostało poza nim, jak ciężki, zły sen.

— Człowiek wszystko potrafi przeżyć, wszystko przecierpieć, z wyjątkiem swojej własnej śmierci. Usłyszał głos Żmudy.

— A może właśnie i te przeżyć potrafi. Przecież ci tam nie żyją a muszą gdzieś żyć.

— Lampa zgasła, bo się ogień wypalił, ot i wszystko.

— Nie! To życie, które jest w nas, nigdy zgasnąć nie może, zbyt jest silne. Ludzie tylko rozdwajają się i odchodzą i dlatego obcy się nam wydają i dalecy, bo trup człowieka to tylko kształt, opuszczony dom... nic więcej.

Miał ochotę pożegnać towarzysza, lubił wędrówkę po cmentarzach i szum ich drzew, białe zjawy pomników i woń kwiatów, ale malarz

szedł obok z rękami w kieszeniach i trudno mu było znaleźć pretekst do rozstania.

Szli więc razem.

A Bruszczyc myślał, że oto tu, gdzieś, złożą ją jutro, ją, taką życia żądną, taką nigdy gwaru niesytą, w tej bezmiernej, obojętnej ciszy. Przerwał mu tok myśli głos Żmudy:

— Czasem człowiek tak się do domu przyzwyczaja, że wraca do niego wciąż, nawet gdy ten dom stał się własnością obcych lub ruiną. Cóż, jeżeli i ci wracają do ruin swoich.

— Jeden powód więcej, by się do domu zbytnio nie przywiązywać ale uważać go za przejściową własność, jak wszystko zresztą Za oberżą, która nam była przytułkiem przez kilka nocy z rzędu, nikt nie tęskni... prawda?

— Zależy. — Malarz zerwał z jakiegoś grobu wielkokwiatową begonję i sycił wzrok bogactwem jej płomienno-purpurowej barwy: — Zależy od tego, co się w tej oberży przeżyło. Czasem jedna noc może zawrzeć całe szczęście życia... więc jakżesz możnaby o niej zapomnieć? Prawda panie, jakie to wszystko w życiu ludzkiem dziwne? Toczą się miesiące, dni, lata, tak prawie, że bez żadnych szczególniejszych wydarzeń i są sekundy, które zawierają, mogą zawrzeć treść całych przyszłych lat. Przecież wystarczy kilka sekund, by stworzyć życie i również jedno mgnienie może go nas pozbawić. Czyż ta sekunda nie jest ważniejszą od lat? I przeciwnie, czemże są całe lata wobec tej sekundy.

— Może, owe szeregi, pozornie nic nie niosących lat, powinny zawierać w sobie przygotowanie do tej chwili twórczej, czy przetwórczej. Dać życie człowiekowi to odpowiedzialność olbrzymia, a jednak nikt z nas prawie nie myśli o tem, jest to w nas pęd zwierzęcy, nieopanowany jeszcze i nieuszlachetniony wolą. Wola człowieka wznosi go na wyżyny lub strąca w przepaść. Otóż, może te szeregi lat powinny w człowieku kształcić wolę, by sternikiem się stał swojej życiowej łodzi, a nie zdawał jej na igraszkę fal, by myśl i wola kierowały nim zawsze i wszędzie. Upada człowiek o słabej woli, bo każda pokusa staje mu się panem i władcą i upada naród, w którym jednostki nie kształciły woli bo nie zdoła zgodnie pracować i chcieć. A na to, by stać się panem swojej woli, nie starczy sekunda, na to trzeba cichej, równej a owocnej pracy, tych właśnie szarych, nic pozornie nie niosących lat Nie wyrośnie trawa w jednym dniu i owoc nie dojrzeje we mgnieniu, choć się we mgnieniu zalęgnie, trzeba mu do rozwoju czasu!

— A po cóż ma się rozwijać, gdy wkońcu jest tylko to .. — Malarz palcem wskazał na milczące, kwietne groby: — Najbardziej rozwinięta wola nie zwycięży śmierci.

— Ale może stworzyć poza nią nowe życie i tworzy!

— „Wierz, a wiara twoja cię uzdrowi" — uśmiechnął się drwiąco Żmuda, ale zaraz dodał z akcentem serdecznym: — Dobrze jest jednak

spotkać człowieka takiego, jak pan... świat słoneczniej. Że jednak...

— Co?

— Że ona tego nie zrozumiała i mogła żyć z panem i pozostać taką, jaką była. Wie pan, że ta kobieta rozpaczała bardziej nad grubem płótnem szpitalnej koszuli, niżeli... nad swoim moralnym upadkiem Ten ostatni był dla niej czemś zupełnie naturalnem..

— Nie mówmy o niej — przerwał Bruszczyc i nagle przypomniały mu się słowa Beny i powtórzył je tak miękko, jak je wtedy powiedziała ona:

— Tem biedniejsza...

— Tak... — poświadczył Żmuda.

I myślał, że była własnością wielu, a oto gdy umarła, nikt jej nie płacze i gdyby nie litość, byłaby zapewne poszła, do wspólnego dołu, ona, co tak modlitewnie wielbiła własne ciało. Czemże była trwalszem od tego kwiatu, co rozwija się i opada, od tej chmury rozzłoconej zachodem słońca?

Szły za nią zachwycone spojrzenia, tuliły ją ramiona, ale nikomu nie stała się „duszy połową“... dogaressa! I jutro inne zakwitną kwiaty i zachodzące słońce inną rozsłoni chmurę.

XII.

Od dwóch tygodni Mieczysław był znowu w Borach, pochłonęła go praca, którą kochał i przyszły znowu ciche, ciepłe, milczeniem błogosławione wieczory, jeno spokój był w nim teraz i równowaga, zcichł, zdławiony wolą demon życia i nie szalał mu już w piersi pragnieniem. A i Bena była jakaś inna; zdarzało się, że nagle cały zewnętrzny świat przestał ją obchodzić, Mieczysław dostrzegał w jej oczach, jak gdyby jakieś oczekiwanie trwożne, a rozradowane i ona, która zawsze dotąd wchodziła w myśl jego myśli, nie słyszała teraz chwilami jego słów i pytała podnosząc ku niemu oczy, jak gdyby nagle ze snu zbudzona:

— Co mówiłeś?

A wokół dyszało ciężką piersią upalne lato i kładło się znużeniem ołowianem na myśli i woli.

Na krzaku, tuż przed werandą, rozwinęło się kilkanaście purpurowych róż i ich to woń kadzielnicowa snuła się w przestrzeni, przypomina-

jąc Mieczysławowi owe białe róże, złożone na martwych rękach Wikty.

Jak wszystko mija.

Tylko gdzieś w zakamarkach mózgu ukryje się wspomnienie i przyjdzie nagle, tak wyraziste, jak gdyby dzisiaj przeżyte, zbudzi je woń kwiatu, zapach zgaszonej świecy, ton zabłąkany w jęku wichury i oto wstaje nagle, z pełnią szczegółów, które nie uświadomiły się nam nawet wtedy, gdyśmy je przeżywali.

Na ganek wyszła stara pani Bruszczycowa, cichutko usiadła obok syna i wbrew zwyczajowi, jej szczupła, wątła ręka opadła na dłoń syna, pieszczotą:

— Po nastroju... — pomyślał Miet, ale rękę matki z tkliwym szacunkiem do ust podniósł.

— Przyszłaś posłuchać gawędy wieczoru, mamo?

— Przyszłam odmówić koronkę. Ojciec z Tomkiem poszli, bo stary Lechoń przybiegł, że się dziki na wykroczysku pokazały.

Bena nagle podniosła głowę, z jej snów na jawie wyrwało ją nazwisko Lechonia i ogarnął ją dziwny lęk... o Tomka. A był ten lęk o niego dla niej samej niespodzianką tak wielką, iż w pierwszej chwili zrozumieć go nie mogła.

A staruszka ciągnęła dalej:

— Więc przyszłam do was, bo mi tak pusto i smutno było samej. Na starość widzicie, człowiek czuje tęsknotę za ludźmi, bo wśród nich zapomina, iż dzień jego ma się ku schyłkowi. Wiesz Mietku, do Brochwiczów przyjechała córka,

panna medycynę skończyła i chce osiąść w miasteczku, jako lekarz.

— Złośliwa Ania! — uśmiechnął się Mieczysław, bo przypomniał ją sobie taką, jaką była niegdyś, brzydką dziewczynką o niesfornej czuprynie, co wciąż wymykała się z pod siatki, podobną raczej do rozpustnego chłopaka, niżeli do dorastającej dziewczynki. Ania, która miała zawsze krytyczną uwagę i złośliwy dowcip w pogotowiu! wydało mu się zabawnem, że teraz ta Ania ma dyplom medycyny i chce odbierać praktykę grubemu Gwizdoniowi, stary Brochwicz ma aptekę, to może i dość sprytnie pomyślane. Nagle przypomniał sobie, że przecież o tę Anię starał się jeden z jego kolegów szkolnych.

— To się z nią Roszkowski nie ożenił?

— Odpaliła go.

— Mimo zarobionych w prowjanturze miljonów?

— Podobnoś właśnie dlatego. Zresztą dziewczyna bardzo miła i szkodaby jej było dla takiego Roszkowskiego.

— Cóż mama chce? Spryciarz pierwszej wody, tacy dziś wybijają się wszędzie na wierzch.

— Męty na wzburzonej wodzie, woda się zwolna uspokoi i męty znowu opadną, tam gdzie należą, na dno.

— Oby...

— Byłam więc dziś po nabożeństwie w aptece, bo mi zabrakło w apteczce mojej maści borowej i octanu, no i przyszła Ania; nie jest ładna, ale ma w sobie taki miły spokój i takie śliczne ręce.

— Które krajały trupy.

— I mój ty, każda kobieta kraje trupy zwierząt, a nie razi was to. No i wiesz, co mi na myśl przyszło? Że to byłaby w sam raz żona dla ciebie.

Także coś! Ja wogóle mamo nie mam zamiaru się żenić. Wystarczam najzupełniej sam sobie.

— Będzie ci kiedyś pusto... synu. I pod wpływem tej myśli zaprosiłam Anię na jutro do nas.

— Słowem mama się zakochała.

— Nie jeszcze, jak wiesz, trudna jestem do wszelkiego rodzaju nagłych uczuć, ale.. ona jest właśnie taka... dziwnie inna. Jest w niej ta spokojna pewność siebie, jaką chleb własny daje, ona, gdyby wyszła za ciebie, nie uczyniłaby tego dla majątku, ani dlatego, by znaleźć oparcie, bo ceni swoją swobodę.. musiałaby cię pokochać. A przytem musi być bardzo dobra, rozmawiałyśmy o jej szpitalnej praktyce i oczy tej dziewczyny uważne i chłodne zwilgotniały łzami nad cudzą niedolą.

— Zostawmy już tę Anię... mamo. Nie masz zupełnie zdolności dyplomatycznych, moja staruszko.

— Chciałabym, byś i ty był szczęśliwy.

— Szczęście, mamo, to spokój i równowaga ducha, wszystkie Anie tej ziemi, to tylko złudzenie szczęścia.

— Złudzenie... może a jednak wokół tego złudzenia snuje się myśl ludzka od stworzenia świata. Miłość była natchnieniem, stała się poe-

zją, bo ona tworzy życie i dlatego jest ziarnem życia i życia sztandarem. Ona przecież rodzi człowieka i sztukę.

— Tak, tylko miłość nie da się wyrozumować, przychodzi ona sama, nagle zstępuje na człowieka jak objawienie i zabiera go ze sobą, jak niewolnika i tylko taka miłość może być szczęściem.

— Mylisz się... taka miłość jest zazwyczaj tylko miłością zmysłów i życie największym bólem.

— Nie myślałem o miłości zmysłowej...

— Myślałeś synu tak, jak mężczyzna zazwyczaj myśli o miłości, a jednak w małżeństwie miłość o ile nie jest oparta na wzajemnym szacunku i szczerej przyjaźni, jest domkiem z kart, który się rozpada przy pierwszej zawierusze.

Pani Bruszczycowa pogrążyła się w pamięci, a Mieczysław zobaczył przed sobą martwą twarz Wikty i przypomniał mu się szał pierwszych tygodni i to bolesne przejrzenie potem: niczem dla mnie jesteś i niczem zostaniesz.

A Bena nie słyszała nic z rozmowy matki z Mieczysławem, dźwięczały obok niej słowa, jako brzęczenie wieczorne much i komarów, równie niepojęte, bo przed nią właśnie nagle otworzył się świat inny i patrzyła weń z lękiem i szczęściem.

Odczuła w sobie pierwszy, słaby ruch drugiej ludzkiej istoty.

Przeczucie stało się pewnością, tam, w niej, jej dziecię żyło.

I zasłuchała się w tajemnicę własnego organizmu, w święty cud tworzenia, a myśl jej wznosiła się do Boga, jednoczyła z Nim, w pokornej, dziękczynnej modlitwie bez słów.

I zdawało się jej, że świątnicą się stała, w której cicho był powinno, podniośle, dostojnie, jak w przybytku Boga.

Ten słaby ruch, który jednak wstrząsnął nią do głębi, to jej dziecko... to przyszły człowiek.

Miłowała je już, bo w niej żyło.

I myślała, że teraz już należy dbać po macierzyńsku o jego przyszłość, wszakże troszcząc się, czerpie może ten przyszły człowiek z niej zarodki wad i cnót. Niechże więc samo dobro będzie jego udziałem, niech dziedziczy pogodę i słońce, nie kaprysy i łzy.

Niechże miłuje Ciebie, tajemniczy Twórco wszelkiego żywota, naturę, słońce i ludzi.

To ciebie, drobne, słodkie dzieciątko, szukałam w tęsknocie wielkiej, myśląc, że rozkoszy szukam, która mija... ciebie jedynie.

I oto jesteś! Jesteś!

Nie wiem, jakie będziesz mieć oczy, czyje usta, ale zamkniesz cały mój świat, to wiem.

I nagle ogarnęło ją pragnienie podzielenia się z kimś tym bezmiarem szczęścia, którem wzbierało jej serce i zrozumiała, jak silne węzły łączą męża z żoną, z chwilą, gdy owoc ich miłości dojrzewa.

Tomkowi tylko mogła powiedzieć: jestem matką. Tomkowi jednemu.

I wydała się jej bardzo bladą i daleką postać sir Teobalda i dalekimi, nieosiągnionemi się jej stały umiłowane usta Mieczysława.

W miłości dziecka zamierały tamte dwa pragnienia, rozsuwały się jak cienie, które minęły.

XIII.

— Wiesz Mietku? — Tomek pochwycił brata za ramię i spojrzał mu w oczy roześmianemi, dumnemi oczyma: — Będę mieć syna! Pomyśl własnego, uprawnionego do życia i dziedziczenia syna! Albo córkę, taką małą figurynkę z bronzu, z oczyma Beny. Awantura, co?

A Mieczysław zrozumiał teraz to trwożne a zarazem rozradowane spojrzenie Beny, zrozumiał, dlaczego w oczach jej zgasł niesamowity żar uczucia, a pozostała łagodna, siostrzana miłość, stanęło między nimi jej dziecko Ale miłość jego dla bratowej stała się tak wybitnie miłością duszy tylko, że ani na chwilę nie zmierzchło mu bólem spojrzenie, gdy ściskając dłoń Tomka, mówił serdecznie:

— A czy ty wiesz Tomku, jak piękna jest dusza tej twojej kobiety?

Tomek odrzucił z czoła wichrowatą zawsze czuprynę i zaśmiał się:

— Niechby odziedziczyło jej charakter, byłoby nam lepiej w życiu. Ja wiecznie błądzę i żałuję i znowu błądzę. Teraz jednak, skoro mam zostać ojcem, to naturalnie... syna...

I skrzywił się, bo mu się przypomniało, jak trudno mu będzie odczepić jędrne ramiona Kaśki i już wchodził na drogę układów z własnem sumieniem, na tę wygodną drog ludzi słabych.

A do gabinetu weszła Bena i zarumieniła się, bo odczuła, że o niej mówiono i że Mieczysław już wie.. i jej piękne, wymowne oczy, pełne pogody i słońca zmierzchły na chwilę pod wpływem myśli: dlaczego to nie ten jest ojcem mojego dziecięcia?

Ale zaraz opanowała się i uśmiechnęła tak, jak się uśmiecha dziecko, które zbroiwszy, prosi o przebaczenie.

— Panna Brochwiczówna przyjechała i mama prosi, byście tam przyszli.

— Warto? pytał Tomek, poprawiając przed lustrem krawat.

Oczy Mieczysława i Beny spotkały się ponad jego głową.

* * *

— Moi synowie..

— Znamy się przecież...

Ania Brochwiczówna odwróciła się i podała rękę na powitanie. Stała z panią Brzeszczycową pod kasztanami i one to rzucały swój zielonawy refleks na jej wysoką, biało ubraną postać. Nie, stanowczo, nie była ładna, miała tylko rozumne, szare oczy, przyzwyczajone do badania i obserwacji, oczy lekarza pod silnie, za silnie naznaczoną linją brwi i te były nie tyle piękne ile

zajmujące wyrazem. Twarz bladą o grubych rysach obejmowały dwa krucze skrzydła, czarnych, gładko uczesanych włosów.

Był jednak w jej ruchach wielki wdzięk bezpretensjonalnej kobiecości, a w jej uśmiechu dobroć.

I Bena ucieszyła się tym uśmiechem, bo pomyślała, że ta blada, rosła dziewczyna posiada nietylko wiedzę, ale i serce i że to połączenie musi być dla jej pacjentów bardzo miłe. Pierwszy też raz pomyślała o tem, że w chwili, gdy mały człowiek przychodzi na świat, matka staje na przełęczy życia i śmierci..

Ach, co tam! Zawsze przecież kiedyś umrzeć trzeba, jest to przeznaczeniem każdego z nas, więc pocóż tym przedwczesnym lękiem zatruwać sobie życie i może cień smutku rzucać na duszę dziecka.

Nie! Przeciwnie — jeżeli krótkie ma być życie, to trzeba zeń spić całą radość, całą słoneczność bytu, cieszyć się każdym kwiatem, co się z pączka rozwije i każdym porankiem od rosy wonnym by duszę dziecka przesłonecznić, by łatwiejszą mu uczynić walkę o byt. Każdy mu już podać potrafi łyżkę strawy... każda inna kobieta matka może podsunąć ustom niemowlęcia pierś mlekiem wezbraną, ale stworzenie charakteru dziecka, zarówno jak jego ciała jest zadaniem matki największem, zanim życie da.

— O czem myślisz, Beno? — zapytał Mieczysław, zaciekawiony wyrazem jej oczu.

— O nim... — Szepnęła: — Wiesz? Wciąż teraz myślę o nim... jaki to jednak olbrzymi cud spełnia się w nas, jak większość ludzi uważa ten cud twórczy za coś zupełnie zwykłego, czasem za rodzaj choroby, uprawniającej do wszelkich kaprysów, a często za zło, które usunąć należy. A jednak w tym czasie właśnie kształtuje się nietylko ciało ale i usposobienie człowieka.

— Tak... i trzeba mu dać pogodę życia... prawda?

— I wielką dobroć... taką, jaka jest w tobie, Beno.

— O czem państwo mówicie? — zapytała panna Brochwiczówna.

— O macierzyństwie...

— Pani się spodziewa dzieciny?

— Tak.. jesienią.

— Szczęśliwa pani! — Było to powiedziane tak prosto i szczerze, była w tym wykrzykniku tęsknota, rozumiejącej zadanie życia kobiety i smutna rezygnacja brzydkiej dziewczyny, która wie, że pójdzie swoją drogą życiową sama.

Mieczysław, patrzący na nią dotąd, z pewnego rodzaju uprzedzeniem, mimowiednie odczuł dla niej żywą życzliwość. To nie była przeciętna dziewczyna, ta brzydka Ania Brochwiczówna. Teraz opowiadała Benie o swojej praktyce na oddziale położniczym i jej szare oczy wypełniła tkliwość bezbrzeżna.

— Tyle tych maleńkich istotek widziałam w ich pierwszych dniach życia, dziecko, gdy przychodzi na świat nigdy nie jest ładne, ale ma takie by-

stre, ciekawe oczy, jest w nich już kiełkująca myśl.

— Ale zwierzę, w kilka godzin po urodzeniu, znacznie rozwojem wyprzeda człowieka, mały koń czy cielę, na mokrych, chwiejnych jak u pijaka nogach, rozpoczyna już wędrówkę wokół stajni, wywraca się, zawadza łbem o wszystko, ale idzie dalej i po kilku dniach obywa się już zupełnie bez matki.

— Mały człowiek natomiast jest niedołęgą — wtrącił Tomek.

— Zapewne, ale „wszystko, co się pomału rozwija, rozwija się dobrze". Zwierzę fizyczną zręcznością wyprzedza człowieka i wyrobiwszy muskuły jest u szczytu swojego rozwoju, człowiek dojrzewa zwolna, aż do późnej starości ma prawo dążenia naprzód... nawet śmierć jest podobno dla niego tylko drogą do dalszego życia, chyba, że... — Szare oczy przypomniały nagle wyrazem dawną, złośliwą Anię, gdy panna Brochwiczówna kończyła: — nie ma ochoty z tego korzystać, bo mu z miernotą tak miło i dobrze.

XIV.

Minęło kilka miesięcy.

Roznosił wicher płatki z ostatnich róż i złotemi liśćmi zasypywał parkowe ścieżyny.

W jadalni dworu w Borach, Mieczysław Bruszczyc stał przy oknie i słuchał... Z za zamkniętych, dalekich drzwi dobiegał jęk.. urastał czasem w krzyk: ochrypły, bolesny i zamierał nagle na długie, długie chwile.. na chwile ciszy i trwożnego oczekiwania. Słyszał wtedy Mieczysław szalone bicie własnego serca i cichy, miarowy tykot zegara.

Jak ona cierpi...

Jak długo...

Tomek przed godziną wraz ze starym panem Bruszczycem poszli na kuropatwy, bo nie mogli znieść tego jęku co wdzierał się wszędzie, mimo pozamykanych drzwi.

A liście lecą.. złote, zdrowe, purpurowe, drżą w przestrzeni w ostatnim locie i do ziemi się tulą baśnią jesieni.

Jęk, w którym życie się rwie i cisza...

Wielka, martwa cisza.

Iść i drzwi otworzyć...

Czy z tym jękiem życie uciekło, czy powstało?

Boże! Wielki Boże..

Ten szalony, ten do opanowania trudny lęk...

Och, otwierają się drzwi nareszcie i staje w nich Ania Brochwiczówna, w zapadającym zmierzchu widać tylko wysoką, smukłą sylwetkę w oknie i myśląc, że to Tomek, uśmiecha się rzucając:

— Jest syn..

— A ona?

— Dobrze..

Ania wie już, z kim mówi, podeszła bliżej i patrzą sobie teraz prosto w oczy i w źrenicach kobiety odbija się nagle zdziwienie, taki obłędny niepokój wyjrzał ku niej ze spojrzenia Mieczysława, taki bezgraniczny ból, a potem radość, słoneczna, chłopięca radość tak dziwna w tej zawsze chłodnej, zawsze spokojnej twarzy.

To nie są oczy brata .

Tak patrzy miłość tylko...

Ach .. więc to tak..

Smutek dogłębny przejmuje duszę Ani Brochwiczówny i nieznane jej dotąd uczucie zniechęcenia i znużenia.

Opuściła ręce na fartuch biały i o okno się oparła, a oczy jej poszły błądzić wśród łanu jesiennych, wichrem strząsanych liści.

Są kwiaty, po które wyciągają się wszystkie ręce i są takie, których nikt nie pragnie.

Są królewne życia i życia służebne.

Barwne motyle i szare, brzydkie gąsienice.

— I naprawdę nic jej już nie grozi?

Podniosła ku niemu znużone oczy.

— Przypuszczam, że żadne komplikacje nie zajdą, bo wszystko odbyło się prawidłowo.

— Musiała jednak bardzo cierpieć.

— Urodzenie jest cierpieniem... jak wszystko, panie. Czy mogę pana prosić o kieliszek wina.

— Służę pani.

Podszedł do kredensu i przyniósł go jej, wypiła, wino było stare i mocne i przywróciło jej utraconą chwilową energję.

— Dziękuję. Niech pan powie Tomkowi, że ma syna o wielkich indyjskich oczach i niech przyjdzie do nas, dopiero jutro rano... dobrze? Teraz jej potrzeba snu i spoczynku.

— A pani?

— O, ja wracam do bardzo ciekawej książki.

— O czem?

— O walce organizmu z bakcylami.

— Czy pani zawsze jest tylko lekarzem?

Uśmiechnęła się:

— Niestety... miewam chwile, w których bywam bardzo samotną starą panną. Dobranoc panu.

* * *

W ramionach Beny leżała maleńka istotka o żywych, złotawo czarnych oczach, wszechświat dla matki i poruszała śmiesznie maluśkiemi rączynami, jak gdyby usiłując odgadnąć, do czego jej w przyszłości służyć mają. A Benie się zdawało, iż z przyjściem tego dziecka, wszystko

nagle zmieniło się wokół niej. Cały świat promienieje światłem i szczęściem, a ona nie jest już więcej obcą przybłędą... nie, jest domu tego panią.

Może tak jest roślinie, przeszczepionej w obcą glebę, gdy pierwszy korzeń w nią zapuści i wie .. tu będziesz trwać.

Taka się jeszcze czuła słaba, prawdziwą rozkoszą było dla niej tak leżeć cichutko, bez ruchu i garnąć ku sobie ciepłe ciałko własnej dzieciny i myślą budować przyszłość...

Jasną przyszłość bez cienia... bez chmury...

O, jakież z ciebie szalone dziecko, Beno.

XV.

Rok... cały, długi rok...

I znowu złote liście zasypują parkowe ścieżyny i kwitną na grzędach ostatnie astry i róże ostatnie.

Ze dworu wyszła Ania Brochwiczówna a za nią Mieczysław Bruszczyc; spojrzeli sobie w oczy i padło pytanie ciche, zdławione wzruszeniem:

— I co?

— Bardzo źle... zdaje się...

Urwała.

Mieczysław odczuł, co chciała powiedzieć i pomimo, iż od roku widział, jak pomału ta umiłowana, jedyna, kobieta jego życia, dojrzewała do śmierci, słowa panny Brochwiczówny oddziałały na niego jak grom.

Milcząc szli po drogach opadłych złotem listowiem, wreszcie Ania zaczęła.

— Stracimy ją panie... może dziś jeszcze. Zasnęła teraz, została przy niej matka pańska, aby w tym śnie odeszła.. byłoby dla niej najlżej. Chociaż ona, taka młoda i taka piękna mimo umiłowania życia, spokojna jest i zrezygnowana.

— Czy bardzo cierpi?

— Nie, gruźlica płuc wyczerpuje powoli organizm, a życie tli się w ostatnich chwilach tak słabo, że niema prawie przedśmiertnej walki... człowiek gaśnie cicho, spokojnie, z pełnią świadomości... Gorączka spadła, wyczerpany organizm przestał walczyć.. kończyny stygną... Jak pan wie, w ostatnich czasach byłam nietylko jej lekarzem, ale i przyjaciółką szczerą, pokochałam tę słoneczną naturę, z jej kwietną wrażliwością i zdolnością przemilczania mnie, jak siostrę młodszą i lepszą Otóż prosiła mnie Bena, bym panu powiedziała, iż zostawia swego syna opiece pana, jej najdroższe, największe szczęście, jej najsilniejsze miłowanie.

— Mnie... przecież Tomek..

— Ach, Tomek! — Ania Brochwiczówna uśmiechnęła się lekceważąco: Tomek jest typowym mężczyzną, nim kilka miesięcy minie, będzie znowu żonaty z inną, a syn będzie mu tylko zawadą. Gdyby w połogu, nie była się rozwinęła u Beny tak gwałtownie gruźlica płuc, byłby się może i Tomek zmienił, bo zaczynał kochać dom, kochając dziecko.. ale tak.. Trudno, choroba nie upiększa, a człowiek tego typu co Tomek, kocha w kobiecie głównie jej zdrowie i jej urodę. Widzi więc pan.. Bena zostawia panu testament, duszę ludzką, którą wychować trzeba na człowieka To dziecko wogóle stało się promieniem słonecznym waszego domu, matka pańska jest teraz taka inna, jak gdyby jej lat ubyło.

A jednak... gdyby nie to dziecko... — rzucił z goryczą.

— Myli się pan, Bena, zdaje się przypłaca życiem zmianę klimatu, dla niej tu, u nas, za zimno. Gruźlica nie powstała w niej po urodzeniu dziecka, macierzyństwo przyśpieszyło tylko jej rozwój.

— Tak... — Mieczysławowi przypomniała się pierwsza rozmowa z Beną w Warszawie i ten jej krótki, suchy, głęboki kaszel, który go przeraził. Chciał mówić o tem, ale z ganku dobiegło go wołanie matki i lęk zmroził mu krew w żyłach pytaniem: czyżby już się stało?

Szli szybko w stronę dworu, a Ania idąc mówiła:

— Zapewne się przebudziła, niech pan idzie do niej, chciała pana zobaczyć raz jeszcze, ale niech pan będzie pogodny, tak, jak gdybyście jutro mieli zobaczyć się znowu. Rozpacz otoczenia odejmuje odwagę i spokój, a w tych ostatnich chwilach trzeba mieć wiele odwagi.

A pani Bruszczycowa szła ku nim i mówiła przyciszonym głosem:

— Śpi jeszcze... ale oddycha coraz słabiej, może tak i uśnie. Wołam was, bo Tomuś płacze i lękam się, by jej nie przerwał snu...

I podreptała szybko w stronę, skąd dochodził płacz dziecka... a oni weszli do pokoju Beny...

Spojrzały w nich jej przecudowne, promienne oczy, rozszerzone bliską śmiercią, pełne zaziemskiego blasku, oczy, w których skupiła się gotowa do odlotu dusza.

— Jakże ci Benuś? — pytała panna Brochwiczówna, ujmując jej rękę w swoje dłonie i badając tętno, a chora znać robiła wysiłek myślowy, by zrozumieć zadane pytanie, a potem uśmiechnęła się:

— Zdawało mi się... że jestem znowu w Dżejpur, że widzę błękit nieba i białe zjawy pałaców, słoneczny świat kwiatów... mój świat. Dobrze mi było... och! jak dobrze, wtem nagle Tomuś zapłakał i zbudziłam się.

Spostrzegła Mieczysława: — I ty przyszedłeś bracie mój drogi... o jak to dobrze...

A Mieczysław, który jej nie widział od trzech miesięcy, od czasu, gdy się musiała położyć, przerażony był zniszczeniem, jakie w tych drogich rysach poczynić zdołała choroba. Jeno oczy żarzyły się wielkie, wymowne, żywe oczy w martwej, chudej twarzy.

Wziął z rąk Ani jej rękę drobną i chłodną, drżącą jak ptaszę schwytane, chciał mówić, ale wszystko, co mógłby powiedzieć, wydało mu się nagle takie marne i nic nie znaczące wobec cichej tragedji tych oczu gasnących, iż milczał.

— Pamiętaj o Tomusiu.

Prosiła cicho, przycisnął usta do jej ręki, bo i teraz nie starczyło mu głosu, coś mu go zdławiło... szalony, dogłębny, przejmujący żal.

Ale ona nie widziała już jego zbladłej, zmienionej twarzy, bo już tylko cząstką świadomości była przy nich. Zdawała się usypiać, głowa jej otoczona falą czarnych, rozrzuconych włosów leżała na poduszkach bez ruchu, z za ekranu

przymkniętych powiek oczy wędrowały gdzieś w dal w ostatni rozbłysk zachodzącego słońca. I coraz więcej szczęścia było w tych oczach, w ustach rozchylonych uśmiechem... było to zachwycenie śmierci...

A Mieczysław patrząc na ten wyraz pogodny i ukojenie w jej twarzy, myślał, jaką byłaby śmierć tej kobiety, gdyby ich był porwał swoje potężne szpony demon życia, gdyby im nie było starczyło woli, do oporu, do zwycięstwa?!

Mijały tak godziny? Sekundy? Wieki?

U łoża śmierci czas traci swoje wymiary.

Wszedł do sypialni Tomek, wsunęli się starzy Bruszczycowie... mrok pokoju rozjaśniło światło gromnicy, zapalonej u wezgłowia.

I nagle usta Beny poruszyły się raz jeszcze szeptem, ledwo zrozumiałym:

— Moje dziecię...

I z pod przymkniętych powiek wybiegły dwie duże łzy... a wtedy Mieczysław odczuł, jak ręka w jego dłoni, nagle ciężka się stała i chłodna...

Spojrzał ku niej i odniósł dziwne, wstrząsające wrażenie; ten martwy kształt, to nie była już jego Bena, z takiem uczuciem patrzymy na dobry portret, na rzeźbę, ale nie na ukochaną kobietę.

To, co w niej miłował, odeszło...

To, co z niej pozostało, obojętne mu było dziwnie i dziwnie dalekie.

Żywiec, 17 maja 1922.